



Wydawca i redaktor: Stanisław Błotnicki.

POWIEŚĆ.

PIEKIELKO

POWIEŚĆ

na tle stosunków współczesnych

napisał

MICHAŁ WOŁOWSKI.

(Ciąg dalszy.)

— Chodzisz z nim, rozmawiasz, trzpiotasz się, a czy wiesz, kto on jest taki?

— Jakto czy wiesz? przecież cioteczka wie, że go znam już od lat kilku. Wszyscy we Lwowie uważają go za bardzo porządnego człowieka, jest dobrze wychowany, zna nawet formy towarzyskie, o które cioci tak chodzi, nie wiem więc...

— Właśnie że nie wiesz, w tem całe nieszczęście, — przerwała generałowa, boś jeszcze zbyt młoda, abyś o wszystkim wiedzieć mogła.

— No, niechże mi więc raz nakoniec ciocia powie.

— Moje dziecko, prócz tych wszystkich rzeczy, które jak twierdzisz, ma posiadać pan Liwski, jest jeszcze wiele innych, na które należy zwracać uwagę.

Ależ?

— Proszę mi nie przerywać, gdyż nigdy nie dojdę właśnie do tego, na co chciałam zwrócić

twoją uwagę i co jest głównym powodem tego, że cię tutaj zawezwałam. Otóż moje dziecko przede wszystkim w człowieku jest krew.

— Ach o tem mówił mi już profesor zoologii na pensji...

Generałowa zrobiła grymas na tę uwagę Zuzi, ciągnęła jednak dalej.

— Dziecko moje, krew jest zawsze wartością człowieka, a tę krew daje tylko dobre urodzenie, nawet owi nasi przeciwnicy, cała ta demokracja, nie zaprzecza temu, iż człowiek z urodzeniem przynosi na świat dobre instynkta swoich rodziców.

Widzimy, że generałowa dla swoich celów umiała nawet posługiwać się teorjami najnowszej wiedzy, której wyniki tak mocno zawsze porażały jej obóz.

— Widzisz więc, jeśli kto nie ma rodziców... Zuzia roześmiała się znowu.

— Czegóż się śmiejesz? — było zapytanie.

— Przecież pan Karol...

— Znow ten pan Karol.

— Przecież pan Liwski ma rodziców, żyją dotąd przecież oboje, nie pomarli.

— Tak, ale można nie mieć rodziców, choć żyją.

— Jakto? tego to już ciociu, nie rozumiem.

Pytanie to i objaśnienie Zuzia wypowiedziała tak naturalnym głosem, iż wprowadziła w kłopot generałową, która nie przypuszczała takiej wysokiej naiwności w główce swej siostrzenicy, a na razie nieprzygotowaną była do objaśnienia nieprawej wędrówki na świat.

Zamilkła więc przez chwilę, ale tym razem Zuzia okazała się natargywie ciekawą i zawołała:

— No, moja cioteczko, bo to jest bardzo ciekawe, niechajże ciocia mi to powie.

— Jakto? czy nie słyszałaś nigdy o dzieciach znajdujących na ulicy?

— Słyszałam, ale przecież one mają rodziców, tylko pewnie biednych, którzy, nie będąc w stanie wyżywić, podrzucają, aby je inni bogatsi wyżywili.

— Nie, nie, to nie dlatego, — zawołała generałowa, — są i te powody, ale są i inne.

— Jakież?

— Jeśli do urodzenia tych dzieci przywiązywana jest hańba.

— Hańba? nie rozumiem.

Pani generałowa zaczynała już żałować swoich objaśnień, albowiem znalazła się w pozycji, z której wyjść było niesłychanie trudno, najbieglejszy dyplomata wobec tej prostoty i szczerości musiałby kapitulować, a generałowa jakkolwiek była wielką dyplomatką, jednak do największych się nie zaliczała. A przecież w tej materji więcej od innych powiedzieć byłaby mogła. Poruszyła się więc w krześle niecierpliwie i po małej zawołała pauzie:

— Cóż więcej ci będę mówić, nie rozumiałabyś i tego, powiem tylko, że we wszystkich stanach, we wszystkich sferach, urodzenie takie z niewiadomych rodziców uważanem jest za hańbę, że od takich ludzi wszyscy się odwracają, nazywając ich podrzutkami, znajdami...

— Przecież od pana Liwskiego nikt się nie odwraca?

— A widzisz, nikt się nie odwraca, bo nikt nie wie, ale on także jest... jego tylko do siebie przygarnęli ludzie, dali nazwisko swoje i wychowanie, ale gdy się tylko dowiedzą, zobaczysz co się tutaj dzieć będzie, jak on sam, sam jeden zostanie z piętnem hańby na czole. Dla tego właśnie chciałam cię ostrzec, abys go od siebie bardzo daleko trzymała, inaczej możesz być narażoną na bardzo wiele przykrości.

Słowa te generałowa wypowiadała z pewną chmurą na czole, spuściła nawet oczy ku ziemi, jakby jaka ciężka myśl mózg jej przygniotła. Kto wie, może w tej chwili obudziło się sumienie i na pamięć własny grzech przyszedł.

Ta myśl nic pozwoliła jej obserwować wrażenia, jakie szczegóły przez nią zakomunikowane wywarły na Zuzi, której twarzyczka zbladła, usteczka drzeć poczęły, a oczęta na poły zamykać.

Przeszła tak chwilką, a biedne dziecko runęło nieprzytomnie na ziemię.

Wtedy dopiero generałowa spostrzegła wrażenie słów swoich. Hałas i rwetes powstał w całym domu, wszyscy biegali po doktorów, po pana

Józefa, którego nikt nigdzie odnaleźć nie mógł i dopiero po parugodzinnem cuceniu, zdołano dzięki energii Janiny, przyprowadzić do przytomności Zuzię.

Wypadek ten dla generałowej był wskazówką, skąd grozi niebezpieczeństwo.

— Proste zemdleńie, — powtarzała ona sobie, ale bądź co bądź radzić trzeba. Dziwna natura, gotowa tak pójść za popędem serca, jak to ja uczyniłam i jak uczyniła jej świętej pamięci matka. Zamiast wywołać pewne zastanowienie ze strony generałowej, choroba Zuzi uczyniła ją jeszcze więcej zaciętą, a plan działania zyskał w jej umyśle jeszcze więcej energii.

Janina tylko jedna nie opuszczała dziewczęcia, dzień i noc całą przy jej łóżku przesiadując.

— O niedobrzy ludzie, — szepnęła budząc się Zuzia.

— Cóż ci zrobili? — pytała Janina.

— Ach, pani nie wiesz, co powiedziała mi ciotka, tak mi się w głowie zakręciło, takie straszne zaczęły się snuć przed memi oczami obrazy, iż myślałam, że już umieram. Ale teraz jestem zdrowa zupełnie — trzeba się zająć suknią, kochana panno Janino, na ten bal, co za dni parę mają tutaj wyprawić.

Więcej od swojej elewki znała życie i jego stosunki Janina, słuchała ona spowiedzi biednego dziecka o tem, co jej powiedziano, z całą uwagą, rozumiała to wszystko od Zuzi lepiej, ale się jej wydawało, że cała plotka jest tylko manewrem, wszakże tak dobrze znała rodziców Karola, wiedziała jaką miłością otaczali go oboje i ani na chwilę nie mogła przypuszczać, aby ta miłość dwojga staruszków z Żółkiewskiego, tylko w przyzwyczajeniu do obcej istoty źródło swe mieć mogła.

To też w odpowiedzi na te zwierzenia Zuzi uspokajając ją zaczęła całą siłą swej zawsze jasnej i prostej logiki, swych argumentów niezbitych, pod wpływem których dziecko przychodziło do równowagi umysłowej, twarzyczka jej się rozjaśniała i siły przybywały.

Pan Józef wieść o całym wypadku naturalnie z przestrachem wielkim przyjął, lecz przyczyny jego dohadac się nie mógł. Tak generałowej, jak Janinie i Zuzi chodziło o to, aby rzecz nie stała się jawną; pierwszej z tego względu, iż tak jak Marcinkiewicz pragnęła, aby bomba ta pękła nagle przed wyborami samymi i zdruzgotała przeciwnika, drugiej zaś dlatego iż przypuszczała, że mimo całej poczciwości pana Józefa, ta wiadomość wyrzuci na nim niekorzystne wrażenie i niekorzystnie względem Karola go usposobi.

## XII.

Nadszedł nareszcie dzień balu, o którym szeroko rozpowiadali wszyscy obywatele w R.

Pan Józef przyjęte na siebie obowiązki gospodarza, wzięł jak to mówią, na serjo. Tutaj zaangażowanymi zostały już nietylko jego polityczne aspiracje, z których sam żartował, ale jego szlachecko-polityczna żyłka, gościnność, chęć pokazania się i wogóle ten właściwy naszym wioskowym po dziś dzień królewietom charakter, który choćby do nitki się sprzedać, wystąpić honeste nakazuje. To też pan Józef, od chwili, w której na jego barkach spoczął obywatelski obowiązek balowy, chodził, biegał, układał z Drzyńskim menu, skupował wszystkie znane delikatesy w miasteczku, a nieznanne ze Lwowa sprowadzał.

Wszystko to koncentrowało jego uwagę w najwyższym stopniu i odwracało od tego, co się naokół działo. Kontent był też niepomiernie, że generałowa widząc jego energję, przestała mu wyklądać polityczne teorie, które w ostatnich zwłaszcza czasach do prawdziwej doprowadzały go rozpacz. Uchodziło więc to zupełnie jego oka, że w dworku Szydłowieckich nie spotykał Marcinkiewicza a tylko hr. Juljusza i że tam zmuszony był go poszukiwać ile razy szło tylko o rozstrzygnięcie jakiejś balowokulinarnej kwestji; dalej, że generałowa chodziła jakby paw nadęty i słówkiem nawet odzywać się nie raczyła do Janiny i Zuzi, że Karol, który kilkakrotnie do piekiełka pukał, przyjętym nie został i w końcu, że Trzaska po mieście chodził zupełnie przytomny, wesóły i z całą energją agitował, wygłaszał mówki, szydził, dokuczał ludziom ze zdwojoną zawziętością.

Wieczorem owego dnia wiekopomnej pamięci w R., miasto całe znajdowało się w prawdziwej gorączce. Do ostatniej chwili jeszcze nierozstrzygniętymi pozostały rozmaite kwestje i sprawy, których nawet kompetentny, jak już wiemy, w rzeczach szyku hr. Juljusz, rozwiązać nie był w stanie.

Kolumbową naprzykład iście zagadką była kwestja czasu, w jakim należy zjawić się na balu, szczególnie dla dam, z których żadna, rzecz prosta, nie chciała być pierwszą.

Kasyno było już oświetlone prawdziwie wsporniale, a do drzwi jego biegały tylko same służące miejscowych dygniterek, zaglądały do sali w celu zrekonoskowania czy się tam już kto zjawił i powracały do swoich pań, które ściśnięte gorsetami, gotowe do tańca i zabawy od dwóch godzin wyczekiwały na wiadomość tylko, czy należy się już na sali pojawić.

Pan Józef, który pierwszy naturalnie jako gospodarz w sali balowej się znalazł i wygalonowany gości oczekiwał, zaczynał się już niepokoić, przypuszczał, że obywatelski bal się nie uda, że wszystkie koszta i starania jego marnieją, że jednym słowem, będzie skandal wielki i kompromitacja. Już nawet z niecierpliwością targał się za włosy, już Judka, dyrektor miejscowej orkiestry, po dwukróć odegrał poloneza Ogińskiego, mówiąc nawiasem, dosyć fałszywie, a balu rozpocząć nie było można, bo płeć piękna trzymała się w rezerwie i żadna siła ludzka w tej chwili nie byłaby zdolną namówić jej do pierwszego kroku na salę.

Trzaska na balu był także jednym z pierwszych gości, zmienił się on nie do poznania, możnaby powiedzieć, że jak wąż zmienił swoją skórę. Od paru tygodni przestał pić zupełnie, nikt go przynajmniej pijanego nie widział, co bardzo często zdarzało się dawniej.

Na balu wystąpił z szykiem, ubrany czarno, we fraku, białej koszuli i krawacie, dwóch nigdy z nim w parze nie chodzących akcesorjach. Wypiękniał, powiedziechy można i twarz jego dziwnie sympatycznie wyglądała przy czarnem ubraniu, które dodawało wyrazistości obliczu i mleczną jego cerę odbijało wyraźniej.

— Na litość Boską, co się dzieje, — zawołał pan Józef, ujrawszy wchodzącego Trzaskę.

— Jakto? — zapytał przybyły.

— Jedenasta godzina, nikogo nie ma.

— Rzecz przecież to bardzo prosta, — odparł Trzaska — i możemy tak czuwać do rana, a nikogo nie będzie, jeśli która z pań z niecierpliwości swojej pierwszą na sali zjawić się nie zechce, wszystkie czekają na tę pierwszą, a że panowie, w tych zwłaszcza wypadkach magnifik swoich są obowiązani słuchać, przeto bal może się nie udać.

— Ależ to warjactwo!

— Nie przeczę.

— Cóż czynić?

— Wynaleść tę pierwszą!

Pan Józef uderzył się w czoło, — no, patrz pan, a to przecież takie proste i ja nie mogłem na to natrafić. Tak, tak, generałowa, Zuzia i Janina, ależ to proste jak świeca.

I w tej chwili z kartką pana Józefa do generałowej pojechał lokaj.

Generałowa także miała swoje skrupuły i obliczone efekta. I Zuzia i ona sprowadziły toalety ze Lwowa. Wiedziała aż nadto dobrze, co znaczy efekt wejścia na salę, gdy ta już jest przepelniona i od niej też służący dowiadywał się w kasynie o liczbę osób.

Kartka jednak pana Józefa objaśniła wszystko.

Efekt sukni trzeba było koniecznie poświęcić dla celów politycznych, które, jak już wiemy, były głównym celem życia generałowej i przedmiotem najrozkoszniejszych marzeń o przyszłości.

Bał w kasynie był pierwszym bale publicznym, na jakim występowała Zuzia, z bijącym też sercem wsparta na ramieniu ojca wkraczała do pustej sali. Ten niepokój, który zwykle napełnia serce młodej panienki, wybitnie rysował się na jej twarzy i zdradzał rumieńcem, przy białej sukience czyniącym ją prawdziwie przesłicznym zjawiskiem.

Jenerałowa nie straciła w swym nowym kostjumie na sztywności. Zanadto dobrze pamiętała o tem, że pochodzi z rodu arystokratycznego i zanadto widoczną była jej chęć utrzymania się na tem stanowisku. Cała jej postawa czyniła wrażenie osoby, która kij połknęła.

O ile jednak jenerałowa przedstawiała etykietę przykrojoną w mundur dumy, o tyle Janina była swobodną i piękną zarazem. Strój jej balowy odznaczał się skromnością, a jednak widniał w nim gust i smak prawdziwy. Od jenerałowej biła arystokracja urodzenia, ze strony Janiny — arystokracja myśli. Zajął miejsce.

Trzaska miał słuszność, środek okazał się praktycznym i skutecznym, w tej chwili bowiem jakby za dotknięciem czarodziejskiej laseczki, zaczęły się zjeżdżać powozy a z nich piękne panie wysiadać i wchodzić na salę.

Odbывała się tedy prezentacja; ukłony, komplementa i słodkie słowa krzyżowały się w powietrzu jak lotne płaszczyzny, wszystkie gazy, pokrywające wydekoltowane piersi podnosiły się szybko, zdradzając ten gorączkowy niepokój, jaki przed tańcem, zazwyczaj ogarnia płeć piękną, jednym słowem, i w sali i w umysłach i w sercach podnosiła się widocznie temperatura, którą mógł zaobserwować każdy...

Pan Józef nie chciał balu rozpocząć bez pięknej pani Szydłowieckiej, aby go nie posądzano, Boże ucho, o chęć lekceważenia żony politycznego przeciwnika. Uwagę na to zwrócił mu właśnie Trzaska, z dziwnie ironiczną fizjonomją.

— Wypada, — szepnął, — abyś pan bal rozpoczął polonezem z panią Szydłowiecką, w drugą zaś parę pójdzie on z jenerałową.

— Jest racja, powtórzył pan Józef.

A pięknej pani jak nie było, tak nie było.

Na sali zjawił się cały komplet wyborców, pan Marcinkiewicz także z głową podniesioną do góry i krokiem pewnym siebie jak zwykle.

Skoro go tylko ujrzał Trzaska, już ani na chwilę nie spuszczał zeń oczu. Trzaska był spokojnym zupełnie, miał już broń w swoim ręku,

a więc tak łatwo zwyciężyć się nie pozwoli. W każdym razie liczył na jakieś niemożliwe powikłania i ani na chwilę nie zapomniał o tem, że czuwać należy.

— Jakie zdrowie pana redaktora — szepnął z ukłonem niskim do Marcinkiewicza.

— Dziękuję za troskliwość — odparł ze zło zatamowaną wściekłością reprezentant opinii publicznej, — mam się dobrze, a pan panie Trzaska?

— Ja, jak zawsze wymienicie! Cóż to nie widać naszej królowej?

— Cóż mnie to obchodzić może?

— Nie widać też i pana hr. Juljusza.

Marcinkiewicz drgnął tym razem i spojrzął bystro w oczy Trzaskę.

— Dla czego to pytanie?

— Przyczyna prosta, pan hrabia jest ozdobą naszego miasta i okolicy, gdyby nie on wyglądali byśmy jak niedźwiedzie; kto poprowadzi kotylion jak się należy, jeśli on nam nie dopisał, jeśli nie dopisała pani piękna?

— Panie Trzaska, w tem co pan mówisz jest jakaś myśl ukryta, — zawołał Marcinkiewicz, chwytając gwałtownie za rękaw Trzaskę.

— Nie ma żadnej myśli, — odparł tenże — jest prosta obserwacja, nie więcej i zechciej pan panie redaktorze tylko za obserwację to przyjąć.

Pomimo tego zapewnienia, jednak Trzaska z takim naciskiem podkreślił to »tylko«, iż Marcinkiewicza czoło pokryło się chmurą, zwłaszcza gdy sobie przypomniał, iż tyle razy odprawiano go z kwitkiem od drzwi willi Szydłowieckich, a jednocześnie przyjęto tam to hrabiowskie dziecko.

Jeden rzut oka na Trzaskę i jego drwiącą fizjonomję przekonał go jednak, że tutaj się niczego nie dowie. Słowa, które usłyszał, potwierdziły w nim tylko przypuszczenia, jakie truły go od owego wypadku na bulwarach, w które jednakże wierzyć nie chciał, bo człowiek nieprzyjemnym dla siebie myślom rzadko ucha nadstawia. Obserwacja ze strony Trzaski przypuszczenie to ugruntowała. Kipiało w nim wszystko, czekał jednak na bal ten, na którym spodziewał się Szydłowieckę ujrzeć i powody jej zachowania wyjaśnić.

Od tej więc rozmowy z Trzaską, którego sam byłby niezawodnie nie zaczął, bezustannie oglądał się tylko na drzwi wchodowe, a każde wejście innej osobistości a nie tej, którą oczekiwał, zbyt wyraźnie manifestowało się na jego twarzy, aby tego Trzaska nie mógł spostrzec i nie odgadnąć.

Nareszcie drzwi się rozwarły; do sali wszedł Szydłowiecki, ale taki jakiś odmieniony, wesoły, inny, jak gdyby po otrzymaniu niesłychanie przyjemnej wiadomości. Wszystkich oczu zwróciły się ku przy-

byłemu, który widocznie na bal pozbył się swojej zwykłej sztywności i wszystkie swoje poważne myśli pozostawił w domu.

Pan Józef pobiegł aż ku drzwiom ku przybyłemu i za ręce go uchwycił. Oczy wszystkich a naturalnie przede wszystkim Marcinkiewicza i Trzaski patrzyły jednak dalej na drzwi wchodowe, spodziewając się w nich ujrzeć piękną panią, małżonkę przyszłego pośła.

Ale pięknej pani nie było. Szydłowiecki witał się ze wszystkimi bardzo serdecznie, nie pominął nawet ręki Marcinkiewicza, której od owej nieszczęsnej kąpieli unikać umiał.

— A żona? — zawołał pan Józef.

— Niestety, nie będzie, — odparł Szydłowiecki, spuszczać ku ziemi oczy, — mocny ból głowy, migrena, nie pozwoliły jej w żaden sposób przyjąć udziału w dzisiejszej zabawie.

— Biedna kobieta! — rzucił Trzaska swym ironicznym głosem, a jednocześnie szeptał do Marcinkiewicza: no spytajcież się pan czy i hr. Juljusz dostał także migreny. W każdym razie rzecz tę zbadać należy, bo to okoliczność wysoce charakterystyczna i wielce ciekawa, zwracam na to uwagę pana redaktora.

Zgrzyt zębów był odpowiedzią na tę apostrofę.

Pan Józef widząc, iż plan jego rozpoczęcia balu z żoną politycznego przeciwnika w żaden sposób się przeprowadzić nie da, posuwistym krokiem zwrócił się do najstarszej wiekiem damy, rękę jej podał, a gdy za danym znakiem muzyka znów zagrała poloneza, ruszył po sali majestatycznie, za nim w parze drugiej ukazał się Marcinkiewicz, prowadząc generałową, a gdzieś na szarym końcu Janina z Szydłowieckim a Zuzia z Karolem, który właśnie przy pierwszych taktach poloneza pokazał się na sali, również piękny jak zwykle, choć smutniejszy nieco.

Muzyka grzmiała, pan Józef prowadził ten taniec, który mu zazwyczaj krew rozgrzewał, związał koła, okręcał się około tancerki swojej, jednym słowem, widoczną było rzeczą, iż chce wedle staropolskiej reguły sprostać swojemu zadaniu. A przyznać należy, że w tych swoich usiłowaniach bardzo piękną miał minę, a gdyby zamiast fraka kazano mu się ustroić w inny kostjum, byłby jeszcze lepiej do niego pasował.

— Pani, przed paru minutami spotkało mnie najwyższe szczęście — zawołał Szydłowiecki, podając rękę Janinie.

— Widać to na pańskiej twarzy — odparła Janina spokojnie.

— Szczęście, które przechodziło moje najśmielsze życzenia.

Janina spojrzała zdumiona na Szydłowieckiego.

— Ona uciekła! — zawołał prawie wybuchając radością pan Alfons.

W tej chwili ręka Janiny, spoczywająca w dłoniach Szydłowieckiego zdrzała.

— Pan to nazywasz szczęściem!

— Ach pani, czyż ci to potrzebuję mówić, zerwała sama wszystkie łączące nas węzły, których ja z obawy przed śmiesznością zerwać nie byłbym w stanie. Przecież! — wrzasnął on z całych piersi, — gdy mi lokaj wręczył jej list pożegnalny przed kwadransem. Uciekła z Drzyńskim, otworzyła mi drogę do zerwania tych pęt strasznych, jakie mnie dławily bezustannie.

Ręka Janiny, którą trzymał Szydłowiecki, usunęła się teraz, ale ją Szydłowiecki powstrzymał silnie. Nie patrzył w twarz Janiny, która w tej chwili przepełniona była boleścią, serce jego radowało się, że go sama żona zwolniła z więzów ucieczką, ale nie wiedział, że tą radością odbiera Janinie wiarę w swój charakter a potwierdza jego słabość! On nie miał siły sam zerwać tych pęt, a gdy zerwała żona — cieszył się; jeśli przyjdzie jej ochota powrócić nazad do niego, pęta te on znów przyjmie, myślała Janina.

— To dziwne jednak, — szeptał Marcinkiewicz do generałowej — że braknie tak wybitnych osobistości na balu. Co do pani Szydłowieckiej, rozumiem jeszcze jej nieobecność, mięszać się z tym całym tłumem nie bardzo rad ten, kto zna i smakuje w lepszym towarzystwie; ale hrabia Juljusz, ten okoliczności takich nie opuszcza, w tem tkwi jakaś zagadka, czy nie mogłabyś mi pani generałowa...

— Ach, ta zacna Helenka — rzuciła w przełocie Radwanowa — taka nieogłędna, nie szanuje swego zdrowia, chodzi zawsze tak lekko ubrana, pewno się przeziębiła. Hrabia Juljusz jest tam, a przynajmniej w ostatnich dniach był codziennym gościem, człowiek tak dystyngowany, w jego towarzystwie można znaleźć prawdziwą przyjemność, poświęcił się może i został dla niej, aby ją rozerwać.

Marcinkiewicz na to oświadczenie zdumionem okiem spojrzał na generałową. W tej chwili nie mogło mu się pomieścić w głowie, jak kobieta tak surowych zasad może znajdować to rzeczą naturalną, iż hr. Juljusz poświęcił się dla młodej i pięknej pani Szydłowieckiej i towarzystwo jej nad bal przełożył jedynie dla tego, aby ją rozerwać. Przypuszczał prawdopodobnie, że generałowa mówi to z ironją, ale gdy na jej twarzy spostrzegł największą swobodę i obojętność, zgrzytnął zębami i już przez cały korowód polonezowy nie rzekł ani słowa. Na

samym końcu prawie długiego szeregu posuwających się par szedł Karol z Zuzią i między nimi toczyła się rozmowa, ale urywana, półsłówkami prawie. Karol nie miał humoru, balów i zabaw takich jak ta nie znosił, a tylko skutkiem nalegania Trzaski, powodowany przytem nadzieją ujrzenia tutaj Zuzi, na balu się zjawił.

— Tak dawno pan u nas nie byłeś... ozwał się cichutko dziewczę.

— Owszem pani, byłem nieraz, ale mnie nie przyjęto, powiedziano, że pani jesteś słabą.

— Tak, rzeczywiście cierpiałam, ale...

— Ale?

— Kilka dobrych poczeiwych słów Janiny wyleczyły mnie zupełnie. dziś już jestem zdrowa, ach kiedyś opowiem to panu, jak cierpiałam bardzo, jak mi dokuczano.

— Dokuczano pani? kto?

— Ludzie!

— Dla czego?

— Ach, czyż oni odpowiadają sobie kiedy na to pytanie!

Karol musiał przyznać słusność słowom Zuzi. Dziś nie pytał się już o to, czy go kocha, bo czuł to doskonale; ten magnetyczny prąd ma własność udzielania się tak jak prąd elektryczny, nie myli się nigdy i Karol w tej chwili nie mylił się także.

Pan Józef przeprowadził przez salę kilka razy korowód polonezowy, czynił to z widoczną przyjemnością i z pewną dumą spozierał na otoczenie, i radby był tak chodzić, tańczyć, posuwać się z dystyncją długo jeszcze, gdyby nie rozkaz jenerałowej, która idąc w drugiej parze doń szepnęła:

— Ależ dosyć już, dosyć, panie bracie tych wędrowek!

— Dosyć? — mruknął gospodarz balu, a no dobrze!

I podawszy swej danserce rękę, okręcił się koło niej zgrabnie, pocałował w rączkę, co znów niezadowolnienie jenerałowej wywołało i posadził ją na kanapie.

Teraz towarzystwo rozdzieliło się na dwie grupy: młodzież została w salonie, ludzie poważniejsi wynieśli się do bufetu, gdzie Bąbalewicz z ręcznie miał wybadywać programy polityczne przyszłych reprezentantów narodu. Szydłowiecki stał za krzesłem Janiny, Karol tuż koło Zuzi, co wielce niepokoiło jenerałową, a pan Józef wyniósł się naturalnie natychmiast, gdyż obowiązki jego jako gospodarza balu, nakazywały mu być na posterunku i baczyć, aby zabawa szła jak należy. Panu Józefowi też tylko o to chodziło, szczęśliwy był, że program polityczny nie wyjeżdżał jakoś na

porządek dzienny i że on nie był zmuszony do pleceni rozmaitych niedorzeczności na podobieństwo Piekarskiego na mękach.

Trzaska tylko jeden zniknął na chwilę z balu i niebawem powrócił. Powrócił z tryumfującą miną, z uśmiechem sarkastycznym, który się jeszcze wyraźniej zarysował na jego twarzy. Nigdy jeszcze w tak wesołem nie widziano go usposobieniu.

Marcinkiewicz, który od chwili ukazania się Szydłowieckiego na sali, a z nim i wiadomości, iż piękna pani nie raczy uszczęśliwić zabawy swoją obecnością, stracił zupełnie humor i opanowały go dziwne przecucia, zobaczywszy Trzaskę i odczytawszy tak niezwykły wyraz malujący się na jego twarzy, doznał przykrego wrażenia. Po scenie, którą miał na bulwarach w R. z Trzaską, stracił do niego zaufanie i śmiałość, opanowała go nienawiść, jak wogóle się to dzieje z tymi, którzy szkodzą ludziom i okazywać swoją wyższość mają wielką ochotę, a stają im na przeszkodzie ku temu niczem nie zwyciężone zapory.

Marcinkiewicz jednak był sprytnym, zrozumiał, czem dla niego stać się może Trzaska, jeśli broni, jaką posiadał w ręku użyje.

Był prawie pewnym, że nazajutrz po tej katastrofie, całe miasto wytykać go będą palcami, tak mało wierzył w powściągliwość języka Trzaski, gdy jednak fakt milczenia z jego strony skonstatował, przyszedł do wniosku, że może dalej bezkarnie rzecz swoją prowadzić i że zachowawszy tylko tajemnicę Karola, zrobi dalej co tylko mu do głowy przyjdzie. Bezcelność musiała mu przyjść w pomoc; tyle razy ratowała go ona z fałszywych sytuacji, nie wątpił więc, że i tym razem wyratuje.

Im jednak więcej podejrzeń obsiadało jego umysł co do pani Szydłowieckiej i zdrady popełnionej przez nią względem niego, tem więcej opuszczała go krew zimna, tem większe gotów był zrobić głupstwo.

Nie tyle miłość prawdziwa, ile raczej obrażona ambicja szarpała mu serce. Nieobecność pięknej pani na balu jeszcze bardziej doprowadzała go do rozpacz i denerwowała go. Mniemał, że to było afrontem wprost przeciwko niemu wymierzonym a nie przypuszczał ani na chwilę innych jakichś ewenementów, tak stanowczo zrywających wszystkie dotychczasowe jego stosunki.

W tych rozmyślaniach był tak zatopionym, iż nie uważał nawet, że w bufecie gromadzą się wyborcy, że jemu, jako przewodnikowi opinii publicznej tam być wypada, kierować tymi, którzy mają tam sondować przekonania kandydatów. Myśli pana redaktora tak odbiegły od zasadniczego celu, obywatelskiego balu, iż na kilkakrotne odzywania się

doń jenerałowej i pytania, zaledwie że półsłówkami odpowiadał.

— Cóż, bomba gotowa? — zapytała go Radwanowa.

— Jaka bomba? — odparł pytaniem.

— Ach, czyż już wszystko stracone, wszakże mieliśmy z siodła wysadzić naszego przeciwnika na dzisiejszym balu.

— Kogo?

Jenerałowa zrobiła tym razem wielkie oczy i na serjo zaczęła się obawiać o Marcinkiewicza, przypuszczając jakiś napad gorączki, tak był roz-targnionym i tak innym niż zwykle.

— Jakto kogo? wszak pan po odkrycie tej tajemnicy jeździłeś do Lwowa?

— A tak jeździłem, — była obojętna od-powiedź.

— Kazałeś czekać, czekałam, rozpowiadając wszystkim, że na balu stanie się coś bardzo a bar-dzo interesującego, wszyscy gotowi mnie o kłamstwo posądzić.

— Pani idzie o tego Liwskiego?

— Ależ na Boga, pan się jeszcze pytasz? wszak sam powiedziałeś, że to niesłychanie niebez-pieczny kandydat.

— No, trochę przesadziłem.

— Być niemoże!

— Jeśli potrzeba będzie, bądź pani jenerałowa spokojną, środek zostanie zaaplikowany, zdaje mi się jednak, że bez tego się obejdzie.

Chmura osiadła na czole jenerałowej, nie spodziewała się ona bowiem takiego oziębienia zapałów ze strony tego czcigodnego męża. Obu-rzenie jej wzrosło jeszcze bardziej, gdy Marcinkiewicz, ujrzawszy z dala chodzącego Trzaskę, nie przeprosiwszy jenerałowej ani jednym słowem, wstał z krzesła, które przy jej miejscu stało i ku sekretarzowi rady powiatowej podszedł.

— Cóż panie Trzaska, masz pan jakieś nowe wiadomości, — zawołał gorączkowo tym razem Marcinkiewicz.

— Pan redaktor wiesz przecież, że ja jestem torbą najświeższych nowinek; chodź pan jednak tym razem, przyjrzyjmy się tym ludziom, co tam tak gorąco zajmują się losami przyszłej polityki, to warto widzieć, panie redaktorze, ja od tak dawna obserwuję te wszystkie objawy, wierz mi pan, nie ma nic dowcipniejszego i nie weselszego od tych ludzi i od tych dziwolągów.

Tu mówca bez ceremonji ujął Marcinkiewicza pod ramię i do sali bufetowej zaprowadził. Przed-

tem jeszcze skinął głową na Karola, dając mu tym sposobem znać, aby także do ogniska politycznego ruchu balu podążył.

Karol był mu posłuszny.

Sala bufetowa oryginalny przedstawiała widok. Tutaj częstowali się panowie, tutaj palili cygara i tutaj rozprawiali o polityce.

W chwili gdy Trzaska z Marcinkiewiczem, a za nimi i Karol wkraczali na salę, twarze tam znajdujących się współobywateli przedstawiały bar-dzo wybitny wyraz zainteresowania się sprawami publicznymi.

Twarze i nosy były już mocno poczerwienione, giesty wyraziste, a ruchy przypominały biedaka, co to cierpi na taniec świętego Wita. Tu i owdzie porozstawiane kieliszki i stos butelek ulokowanych na stole, zdawały się wskazywać, iż nie próżno-wano na tem miejscu, że co było tylko można zrobić w dziedzinie podwyższenia ducha, to zro-biono najaktualniej i że pan Józef, jako gospodarz balu spisał się dzielnie.

Bąbalewicz nikogo nie chciał dopuścić do głosu, co chwila z ust jego wydobywał się oby-watelski wyraz, krzyczał, wymyślał, dowodził, że wszystko idzie »pod psem«, że jak tak dalej pójdzie, to zmarnieć trzeba będzie, że właśnie w tem grunt, aby teraz oprzeć się na obywatelskich nogach, zy-skać grunt obywatelski i stworzyć taką obywatelską opozycję przeciwko rządowi, żeby ministrowie zgryść tego obywatelskiego ruchu nie byli w stanie.

Pan Józef, który o tem wszystkim miał takie wyobrażenie jak ciemny o kolorach, potakiwał tylko na wszystko głową, co w prawdziwy entuzjazm wprowadziło Bąbalewicza, który wołał:

— Pan, panie Ślepowroński mnie rozumiesz, masz obywatelskie serce, pan jeden będziesz umiał jak należy reprezentować na sejmie a potem w radzie państwa, obywatelskie nasze poglądy, pan będziesz posłem, jakem Bąbalewicz, jak dwa a dwa cztery.

Ten frazes zastanowił pana Józefa i przeraził jednocześnie, to wcale dla niego nie było zachęcające.

— Co on u diabła plecie, — szepnął do siebie — oszalał — ja posłem?

(Ciąg dalszy nastąpi).

## POEZJA.



## I.

W ustroniu leśnym znajdziesz czasem kwiatek  
 Błękitny i cichy, skromny jak bławatek.  
 Jakaś posepność zda się zeń przebijając,  
 Samotnik go zerwie, wieszcz mu musi sprzyjać.  
 Bo obu ujmie w leśnym kwiatku smutek  
 Dziwny wśród krasnych dzwonków i stokrótka.  
 Czasem w życiu zjawia się dziewica młoda;  
 Smętnością przyémiona cała jej uroda;  
 Ów różany puszek, co jej zdobił lica,  
 Zbladł, i już powaga z jej czoła przyświeca.  
 Tłum jej nie rozumie, ni rówieśnic grono,  
 I może ją zwykły człowiek nazwie żoną.  
 Ona taka piękna duchem — ale cicha!  
 Jak ów kwiat, nie wzniesie z tęczą barw kielicha.  
 Woń jej umysłu, cichy urok duszy  
 Chyba młodzieńca myślącego wzruszy,  
 Co idąc rzędem pustych jej rówieśnic,  
 Tyle widzi skrytych albo jawnych grzesznic,  
 Tyle próżnych, zwykłych, że ironji cienie  
 Rozjaśnić nie zdoła nawet jej zjawienie.  
 Jednak stanie przed nią, nagnie się ciekawy,  
 Wpatrzy w dziwny kwiatek i rozgarnie trawy,  
 By go lepiej widzieć, złoży go na dłoni —  
 Zwolna uśmiech zniknie, zmyty falą woni.  
 A na dnie, gdzieś w głębi, znajdzie perły czyste —  
 A w duszy — poezji kręgi promieniste.  
 Ale nieostrożny! gdy zbyt kwiat przechyli,  
 Ów, mdlejąc w korzeniach, smutnie kielich schyli.

## 2.

Gdzie życia jasność, tam się ludzie pieszczą;  
 Posepność losu tworzy silne dusze.  
 Lubię się patrzeć na królowę strojną,  
 Lecz chętniej widzę poetki katusze.  
 Piękność królowej zniknie wraz z młodością,  
 Umysł poetki wieczną lśni pięknością.  
 Nieszczęście serca jest jej szczęściem duszy  
 I piekło cierpień spływa w raj utworów;  
 Raz wybucha wulkan, raz się serce łamie —  
 Mimo zniszczenia złowrogich pozorów,  
 Wulkan wywabi wnet kwitnące sady,  
 Z serca wypłyną poezji kaskady.

## 3.

Wryłaś mi w pamięć piękną sielankę:  
 Mam ja konwalij białych wiązanek,

Mam fiołki, róże — cmentarz kwieciany,  
 Dziś na wpół wonny, barwą skrapiany.  
 Jutro on będzie twardy i suchy,  
 Jak kamień niemy, jak ziemia kruchy.  
 Ale gdy kiedyś padną nań oczy  
 I ciepła żalu łza nań się stoczy,  
 Umarłe kwiatki, zwilżone rosą,  
 Smutne kielichy ku mnie podniosą  
 I cmentarz wyda wszystkie swe cienie:  
 Pamięć i tęskność, żal i cierpienie.

## 4.

Jak nie ma nocy bez jasnego świtu,  
 Tak nie ma cierpień bolesnego zgrzytu  
 Bez zorzy szczęścia, bez nadziei błogiej  
 Przyszłości jasnej i rozkoszy mnogiej.  
 I wszelkie żale wnet się rozwidniają,  
 Gdy tylko pieśni szatę jasną wdziewają.  
 Pieśń cię wzniesie ponad serca bole,  
 W niej znajdziesz siłę i przyszłość i wolę.

## 5.

Ty kiedyś znikniesz, o postaci smętnej,  
 Kiedyś się przerwą wszystkie wspólne tętna.  
 W świątyni serca posąg twój wyniosły  
 Otoczą blaski, co z Twych cnót wyrosły;  
 My się rozłączym — taka losów wola.  
 Ale gdyś z życia jest mi wykreślona —  
 W pamięci żyjesz, pięknem wyzłocona  
 Którem ozdabia wspomnień aureola.

## 6.

My mamy wszysej wielką boleść wspólną,  
 Łza twa obraża smutność tę ogólną.  
 Nie na to łzy twe, i nie na to serce,  
 By w drobnym żalu uleżz poniewierce.  
 Dość cię znękała owa żalność krucha,  
 Otrzyj oblicze i spotęguj ducha.  
 Odtąd niech łza twa spływa w urnę czarną,  
 Dokąd gnębionych toczą krew ofiarą.  
 Zapomnij o sobie. Pracuj i poświęcaj,  
 Do takich ofiar wszystkich tych zachęcaj,  
 Co wstąpią w jasne życia twego koła,  
 Zawiedź ich tam, gdzie obowiązek woła.  
 Słowo jest czynem, przykład dzielną bronią,  
 Wytrwaj, a błysnie laur nad twoją skronią.



# Wspomnienia więźnia

(1876 — 1885)

spisał

*Florjan Bohdanowicz.*

Pogodny dzień 10. września 1876 r., w którym opuszczałem Lwów, nie odpowiadał bynajmniej stanowi mej duszy, miotanej walką wewnętrzną. Przecucie mówiło mi, że ta podróż skończy się dla mnie jakąś ciężką katastrofą; udrczenie jednak moralne, biorąc górę nad instynktem zachowawczym pchało mnie do wyjazdu.

Nie będę nużył czytelnika przytaczaniem mu okoliczności składających się na moje ówczesne krańcowo przykre usposobienie. Niechaj wiersz niżej przytoczony a skreślony przezemnie w dniu rozstania się z Galicją na samej granicy, będzie ówczesnego stanu duszy mojej — tłumaczem.

Bądźcie mi zdrowi. Niech myśli jasne,  
Złotą was przedzą osnują;  
Bądźcie mi zdrowi. Niech wstęgi krasne,  
Drogi wam życia torują.

Bądźcie mi zdrowi... Ja do orszaku,  
Błędnych zaliczon wędrowców,  
Co jasne światło swojego znaku  
Ronią wśród życia manowców.

Lecz tych wędrowców, których z ich ziemi  
Nawalna burza unosi;  
Nie równa dola barki brzemieni,  
I w różne strony roznosi.

Wielu w podróży... Ich życia droga  
Choć się zarywa i pieni  
Głębią przepaści, mniej mojej wroga,  
Jutrem się jeszcze zieleni.

Im i o zmroku przyświeca słońce,  
Ich w przyszłość idą godziny;  
Południa mego złowrogie gońce,  
Toną, wśród bezdnej głębinie.

A gdzie mą przeszłość nie rad odsłonię  
Pamięć zawody wygłębi;  
I znów nadziei mych jasne błonie,  
W obłok ponury się skłębi.

Bo któż mi tutaj nie skrawił zgody?  
Czyja dłoń szczerą mi była?  
Gdzie pierś, co w imię własnej wygody  
Natchnienia w cyfrę nie skryła?

Na „do widzenia wiecznego“ słowo  
Łzy jednej zronić nie mogę,  
I patrząc w lica losu surowo  
W złowieszczą puszczałam się drogę.

Chyba ten Orzeł, co we krwi bieli,  
Gdyby się zerwał do lotu;  
Onby mnie jeden wśród tej topieli  
Głosem swym wezwał do zwrotu.

Pod ciężarem tak gnębiących myśli ruszyłem koleją żelazną z Wołoczysk, kierując się ku Ukrainie, gdzie zamierzałem objąć posadę chemika przy cukrowni w Burzance.

W początkach podróży z pogodą było jeszcze jako tako, lecz już od stacji Korzonki, gdzie przesiadłem się z wagonu na furmankę, poczęły mnie przesładować nieustanne deszcze a przytem niezwykłe ciemności. Zanocowawszy w miasteczku Troki, ruszyłem rankiem dalej, lecz za Taraszczą na stepie zwanym Baranie pole zaskoczyła nas tak silna burza, że ja sam i woźnica przemoczeni do ostatniej nitki i rażeni piorunem, zmuszeni byliśmy szukać schronienia w lichej osamotnionej lepiance, której jedynym mieszkańcem był jakiś podejrzany arendarz.

Nie mając zarówno chęci jakoteż możliwości posilenia żołądka, ległem na wiązce przemoczonej słomy, próbując zasnąć. Wewnętrzny jednak niepokój odganiał sen. Przeczuwawszy na słomie kilka godzin, powstałem nagląc woźnicę do wyjazdu, ten jednak głuchy na moje namowy, postanowił czekać tu ranka.

Nie kusząc się więcej o sen, rozganiałem trawiącą mnie nudę kręceniem się po szczupłej izbie, potykając się co chwila o nierówności glinianej podłogi, zalanej strumieniami przeciekającego przez pułap deszczu. Wkrótce porzuciłem tę niemiłą rozrywkę a owładniony przecuciem zagrażającego mi tu niebezpieczeństwa, cisnąłem się bezmyślnie ku drzwiom wchodowym. Niestety! było już zapóźno; na samym bowiem progu zetknąłem się z poczetem nieznanym mi ludzi, opatrzonych w pochodnie i latarnie, którzy tamując mi wyjście, skłonili do powrotu.

W izbie zapanowało chwilowo złowrogie milczenie, wśród którego mierzyliśmy się wzajemnie wzrokiem. Wreszcie jeden z przybyłych w białej wojskowej furazie, zbliżywszy się ku mnie oznajmił, że jest oficerem żandarmerji baronem Giejkingiem a wskazując ręką na towarzyszącego mu prokuratora Kotlarzewskiego dodał, że jestem aresztowany.

Po tej instalacji baron Giejking poprosił mnie uprzejmie o okazanie mu paszportu, portmonecki i pakunków, co wszystko oddając w zupełnym spokoju oznajmiłem, że ten niespodziany na mnie najazd, przyjmuję wyłącznie za wynik jakiegoś urzędowego nieporozumienia. W czasie jednak rewizji moich rzeczy a zwłaszcza torebki podróźnej, zaszła okoliczność wprowadzająca mnie nie tylko

w istotny kłopot, ale nadto grożąca mi utrata wolności. Tą zaś było, niespodziane dla mnie ukazanie się w fartuszkach mojej torebki mocno kompromitującego mnie świstka, który zdawna miałem za zniszczony.

Przebiegłszy go wzrokiem prokurator Kotlarzewski, mniej niż lat średnich jednooki brunet w czarnych okularach, zdający się być dotychczas raczej automatem woskowym, niż żyjącym jestestwem, uśmiechnął się nieznacznie i z nie dającym się ukryć zadowoleniem szepnął na ucho baronowi: końce się schodzą, należy bezzwłocznie zatelegrafować do żandarmerji warszawskiej.

By rozjaśnić czytelnikowi to dla niego ciemne a dla mnie nader przykre zajście na ukraińskim stepie, nadmienić muszę, że na cz. jakiś przed wyjazdem moim ze Lwowa do zabranych krajów, przybył do mnie z Szwajcarii pewien młody człowiek nazwiskiem Pawlenko, a odwołując się na wręczone mi listy od moich dobrych znajomych z Zurychu, prosił usilnie o wysłanie drogą tajemną do Kijowa pozostawionych w mieszkaniu mojem paczek z wzbronionemi książkami. Pawlenko zrobił mnie także uważnym, bym donosząc mu o dniu wyprawienia rzeczonyj posyłki, zamiast paczek z książkami, użył słowa: siostra.

Zobowiązawszy się zadość uczynić żądaniom mego gościa i ułatwiwszy mu, jako nie posiadającemu paszportu, przejazd przez granicę, zająłem się bezzwłocznie wysyłką paczek, przyzywając w pomoc biegłych przemytników brodzkich. Rzecz pozornie tak prosta, pociągnęła za sobą dość znaczne trudności, wynikiem czego było kilkotygodniowe opóźnienie ekspedycji.

Zaniepokojony tą zwłoką Pawlenko, zasypywał mnie wciąż zapytaniami listownie o zdrowie i czas przybycia mej siostry do Kijowa, w końcu zaś czerwca 1876 r. otrzymałem od niego naraz kilka depez telegraficznych, w których zaklinał on mnie na wszystko, bym choć na parę godzin przybył do Kijowa. Łamiąc też możebne przeszkody, udałem się wkrótce tamże.

Pawlenka zastałem oczekującego mnie na dworcu kolei żelaznej, skąd podążyliśmy do jego mieszkania. Niezadługo pojawiło się u niego kilku młodych ludzi, o ile mogłem wnosić z ich rozmowy, zapalonych anarchistów i energicznych szermierzy w walce przeciw despotyzmowi. Po wyjściu owych gości Pawlenko wszczął ze mną długą rozmowę a poznajomiwszy mnie z programem działania i środkami partji socjalno-rewolucyjnej w Rosji, której mienił się być jednym z przedstawicieli, nasuwał mi myśl przyjęcia w niej czynnego udziału.

Dążenia zawiązującej się wtedy w Rosji partji socjalno-rewolucyjnej, z którymi zamierzał mnie zapoznać Pawlenko, nie były mi obcemi. Już bowiem w czasie pobytu mojego w Szwajcarii miałem sposobność na zgromadzeniach internacjonau stykać się nie tylko z emigracją rosyjską, ale z najróżnorodniejszymi wyznawcami wytwarzających się nanczas prądów społeczno-politycznych.

Wtedy to, skutkiem zbytecznej mojej łatwości, omal że sam nie znalazłem się na liście członków stowarzyszenia polskiego socjalno-demokratycznego, którego prezes, ów zagorzały polak-patrijota Stępkowski, potrafił tak zręcznie godzić posłannictwo apostoła wolności z obowiązkami moskiewskiego denuncjanta, że na otwarcie oczów zaślepionej w nieskazitelność naczelnika swego rzeszy, potrzeba było koniecznie aż ofiary życia ludzkiego!

To właśnie gorzkie doświadczenie, tłumiąc w mej piersi płomiącą żądzę czynu, powstrzymało mnie zarazem od przyjęcia czynnego udziału w podjętej przez Pawlenkę sprawie. Zostawiając ostateczną decyzję czasowi, tegoż jeszcze dnia opuściłem Kijów.

W ciągu kilku następnych tygodni otrzymałem listy od Pawlenki, których treścią był zwykle niepokój o przesyłkę książek, wreszcie przed samym wyjazdem ze Lwowa, otrzymałem od niego w sprawie przesyłki dwa wprost przeciwne telegramy, w odpowiedzi na które wysłałem do niego list, naznaczając mu schadzki na stacji Korzance.

Obecnie trapił mnie ów list zawieruszony w torebce, który jeżeli już nie z istoty rzeczy, to koniecznie ze zbiegu okoliczności, zwłaszcza w rękach prokuratorji rosyjskiej stawał się powodem do wytoczenia mi procesu. Prócz tego, jak to sobie przypomniałem, w liście owym zamieszczony był adres niejakiego Lengnischa, od którego mi polecono odebrać jakąś walizkę z książkami, co stało się też dla mnie źródłem nie małych udręczeń. Jak się dowiedziałem później, Lengnisch z mojej przyczyny został w Warszawie aresztowanym, lecz go wkrótce oswobodzono.

Ale nie był to jeno koniec wstępnych kłopotów. Baron zabrawszy znalezione przy mnie w czasie rewizji listy i dokumenta, wydobyl z swej teki jeszcze jeden wcale ważny i usprawiedliwiający fakt dokonanego na mnie przez władze rosyjskie aresztu. Tym zaś był list mój własnoręczny do Pawlenki, w którym wspominając o podróży mojej do Białej Cerkwi, naznaczałem mu jako punkt następnego spotkania stację Korzanę.

— Otóż ten list — oznajmił baron — skłonił nas do puszczenia się za panem w pogoń aż do

Białej Cerkwi. Tam jednak straciliśmy dalszy jego ślad, Sztundysci bowiem domyślając się w czem recz, fałszywą o kierunku dalszej jego podróży informacją usiłovali nas zawrócić do Kijowa. Dopiero ot ten żydek — rzekł wskazując na odwodzącego mnie z Białej Cerkwi do Taraszczy woznicę — stał się w tej pogoni naszym drogomanem. Wyjawszy następnie list z koperty spytał, czy to pismo jest moje własnoręczne i od jak dawna zostało w stosunkach znajomości z odbiorcą tego listu, Panoczinim?

— Pisma własnoręcznego mego zaprzeć się nie mogę, co się zaś tyczy Panocziniego, to nazwisko to pierwszy raz i to w tej chwili obija się o moje uszy — odpowiedziałem.

Milczący dotychczas świadek naszej rozmowy prokurator Kotlarzewski, który przez cały ten czas zdawał się świdrować swem jednym okiem przedstawiony mi przez barona list, wychyliwszy teraz głowę i wskazując na wyrażenie podkreślone czerwonym ołówkiem: niespokojny jestem o los mojej siostry, zażądał bliższego wyjaśnienia tego frazesu.

— Zdaje się, że sens zakwestjonowanego wyrażenia jest nadto zrozumiałym, by potrzebował jakichkolwiek z mej strony wyjaśnień, — odpowiedziałem.

— Właśnie, że potrzebuje — mówił miarowym głosem Kotlarzewski — jeżeli zaś pan odmawiasz ich udzielenia, to my, opierając się na zeznaniu jego spółnika Panocziniego, postaramy się go przekonać, że mniemaną pańską siostrą nie jest osoba żyjąca lecz pudowej wagi tłomoki z książkami zakazanemi, któreś pan przysłał do Kijowa. Czy nie zechcesz pan — rzekł z przekąsem, podsuwając mi kilkuarkuszowy rękopism — zaznajomić się choć pobieżnie z jego treścią?

Przebiegłszy okiem wskazane mi przez Kotlarzewskiego a podkreślone czerwonym ołówkiem miejsca rzeczonego manuskryptu, wpadłem w stan najprzykrzejszego zdumienia. Z charakteru pisma domyśliłem się teraz, że Pawlenko jest właściwie owym zagadkowym dla mnie Panoczinim; co gorzej jednak, że zeznanie jego stawało się względem mnie formalnym aktem oskarżenia. Prócz prawdziwych, kompromitujących a dotyczących mojej przeszłości faktów, była tam większość zupełnie zmyślonych. Chcąc się uniewinnić, Panoczini nie tylko zwałił na mnie całą swą winę, ale nadto przedstawił się ofiarą moich nań wpływów. Dzięki to moim namowom wrócił on z Szwajcarii do Rosji jako krzewiciel propagandy anarchistycznej. Ja to dostarczałem mu paszportu na przejazd przez granicę; zaopatrywałem go książkami wzbronionemi,

zbierałem drużyny, wreszcie przyjechał do Kijowa z znacznym zapasem pism i proklamacyj podburzających, zawezwałem go do Hotelu Szwajcarskiego, zmuszając go do rozpowszechniania ich w mieście i na prowincji.

Zeznanie to oczywiście było w zupełności zmyślonem.

Opuściliśmy niebawem tę fatalną miejscowość, kierując się dwiema bryczkami pocztowymi ku miastu Taraszczy, gdzie stanęliśmy przed budynkiem urzędu powiatowego.

Turkot zatrzymujących się bryczek, zwiastujący przybycie oczekiwanych gości sprowadził isprawnika (naczelnika powiatu) aż do sieni. Powinszowawszy swym kolegom pomyślnego skutku łowów, oznajmił szyderczo: teraz będziemy się mieć już na baczności i nie pozwolimy temu panu ratować się powtórnie ucieczką.

— Jako? Ten pan znany tutaj? — spytał niespokojnie baron.

— I doskonale znany. Przed dwoma laty podmawiał do buntu tutejszych Sztundystów, za co też został aresztowany i odesłany do Kijowa, lecz z drogi drapnął — oznajmił isprawnik.

— Nieprawda, te strony są mi zupełnie obce, — zawołałem oburzony.

— Ależ ja ręczę słowem honoru, że to pan buntowałeś Sztundystów. mogę mu tego dowieść i to nie jednym ale całą setką świadków — łął dalej z całą bezczelnością isprawnik, a łypnąwszy oczyma, dodał z przekąsem: dla bezpieczeństwa należałoby mu nałożyć kajdanki.

— Ja nie pozwolę się okuć — oznajmiłem stanowczo.

— I bardzo słusznie — zauważył z swej strony baron — wszakże pan nie jesteś przestępcą a tylko podejrzanym, zresztą przywilej szlachectwa i stopień jego wykształcenia uwalniają pana od noszenia kajdanów.

— Jakże bo to panowie bierzecie wszystko na serjo — odezwał się zmięszany swą złościwą a zarazem niedorzeczną propozycją isprawnik i zwracając mowę na inny przedmiot, poprosił nas wszystkich do śniadania.

— Po ukończeniu owego śniadania, którego mimo usilnych nalegań gospodarza nie tknąłem, moi szatani-stróże podążyli ku Białej Cerkwi, polecając isprawnikowi, by nazajutrz o świcie odesłał mnie do Kijowa.

\* \* \*

Na trzeci dzień po fatalnem zajściu na stepie ukraińskim, znalazłem się w murach więzienia kijowskiego.

Na wstępie zrewidowano mnie z całą brutalnością do ostatniej nitki, poczem rządca więzienia Kowalski, przedstawiając mnie zgromadzonej rzeszy służalczą jako najniebezpieczniejszego przestępcę, rozkazał zamknąć samotnie w celi więziennej, wzbraniając jak najsurowiej wypuszczenia mnie za jej progi. Nie zapomniano także ogołocić mnie z zegarka, pieniędzy, materiałów piśmiennych, tygielka i blaszki platynowej, tudzież innych metalicznych sprzętów. Bieliznę, rzeczy i pościel oddano mi do użytku.

Obeznanemu już zdawna z klauzulą więzienną, obecny sposób życia nie zdawał się, przynajmniej na wstępie, zbyt przykrym. Znaczny zapas sił moich fizycznych starczyć mógł na wytrzymanie wieloletniej walki z nierównie nieprzyjaźniejszymi niż obecnie napotkanymi warunkami, i gdyby nie sprzyśnięcie się przeciwko mnie innych zabójczych, nie dotyczących w mowie będącej sprawy czynników, to niezawodnie owo fatalne zajście stałoby się dla mnie najgłówniejszą na loterii życia wygraną.

Ale wracam do rzeczy. Ujrzawszy się w zamknięciu, starałem się przedewszystkiem o nawiązanie stosunków z ówczesnymi więźniami stanu, a w szczególności z Panoczinim, od którego obiecywałem sobie najdokładniejszej o przebiegu naszej sprawy informacji. Łamanie sobie głowy na teraz było zbyt ciężkiem, w trzy bowiem godziny po mojem przybyciu, mimo czuwającego pod drzwiami celi strażnika, jeden z więźniów cywilnych, podsunąwszy się pod okienko, wręczył mi zręcznie zwitek papieru oznajmiając, że za jaką godzinę przyjdzie po odpowiedź.

Zwitek ów prócz arkuszyka czystego papieru i ołówka, zawierał dość obszerną korespondencję Panocziniego, obznajmiałą mnie z dotyczącymi sprawą naszej wypadkami. Z konfiskatą książek rzecz się tak miała: Żandarmerja, uwiadomiona przez kogoś o mającym się przemycić do Kijowa transporcie książek, poleciła przystawowi (komisarzowi policji) Tomaszewskiemu zamieszkać w charakterze gościa w Hotelu Szwajcarskim i mieć na oku wszystkich przyjezdnych z bagażami. Oczekiwany dostawca wkrótce pojawił się w tymże hotelu wraz z pakami książek, po odbiór których zgłosił się osobiście Panoczini.

Uwiadomiony o wszystkim przez Tomaszewskiego baron Giejking, mając na myśli jakieś inne jeszcze wykrycie, nie aresztował na razie Panocziniego, lecz wypuszczając go swobodnie z hotelu wraz z książkami, podążył za nim drugim ekwipażem; poprzestając tą razą na zanotowaniu sobie jego mieszkania.

Nie przewidując grożącego mu niebezpie-

czeństwa, Panoczini sprawdziwszy zawartość przywiezionych z sobą paczek, pospieszył do biura telegraficznego zawiadomić mnie o otrzymaniu książek, a powróciwszy do domu, został wkrótce aresztowanym. Nazajutrz wysłano znów do mnie depezę przeciwnej treści a następnie umyślnego gońca, który mnie jednakże w domu nie zastał.

W dalszym ciągu tej korespondencji, Panoczini zapewniając mnie, że tylko głębokie przeświadczenie o mojej niebytności w Rosji skłoniło go w tak krytycznej chwili do udzielenia Rządowi kompromitującego mnie zeznania, nalegał usilnie, bym zeznanie jego w dalszym ciągu śledztwa w zupełności potwierdził.

Żądaniu Panocziniego, zwłaszcza po bliższem się zastanowieniu, zadośćuczynić nie uważałem za stosowne, o czem go też pospieszyłem uwiadomić a dla zapobieżenia wszczynającym się nieporozumieniom, radziłem, byśmy obaj przy naocznej stawce odrzekli się od naszej znajomości.

Przyjmując w zupełności propozycję moją Panoczini, zobowiązał mnie, bym dla oszczędzenia jego żonie możebnych nieprzyjemności, przy naocznej stawce uznał i w niej osobę mi obcą.

W trzy tygodnie od dnia uwięzienia późną już nocą zawezwano mnie do kancelarji, gdzie zastałem już siedzących przy stole Kotlarzewskiego, barona i Panocziniego. Domyślając się, że to będzie stawka naoczna a nie chcąc mimowolnym gestem zdradzić mojej znajomości z Panoczinim, skierowałem wzrok w inną stronę, stanąłem w pewnej od stołu odległości. Wtedy Kotlarzewski, wskazując ręką na Panocziniego, spytał mnie o moją z tymże znajomość. Odpowiedziałem, zgodnie z naszą umową, że osobistość tę pierwszy raz oglądałem w tem miejscu. Jakież było jednak moje oburzenie, gdy Panoczini powstawszy z krzesła i podając mi rękę jako dobremu znajomemu, począł przypominać okoliczności towarzyszące naszemu zapoznaniu.

Oddaliwszy Panocziniego, Kotlarzewski rozpoczął ze mną śledztwo, którego przedmiotem na ten raz były znalezione przy mnie w czasie rewizji listy.

Zbyt krótkie moje odpowiedzi, jakiemi zbywałem rzucane mi zapytania, nie zadowolniły mego prześladowcy. Przypisując mi też, wbrew własnemu swemu przekonaniu rolę pierwszorzędną w rzeczonyj sprawie, rzekł z przyciskiem do barona:

— Ten pan nieotwartością swoją zmusza nas do niemiłego obowiązku udowadniania mu kolejno wniesionych w zeznaniu Panocziniego a mających ściśle związek z listami przy nim znalezionymi zarzutów. Zaczniemy tedy od Hotelu Szwajcarskiego

— Dobrze, ale w jaki sposób go tam wyszliśmy? — odrzekł baron.

— Najwłaściwiej będzie w karecie więziennej — zdecydował Kotlarzewski.

— Jak na początek, to podróż ta będzie dla niego zanadto uciążliwą, może lepiej byłoby go wysłać fiakrem — zauważył baron, któremu widocznie nadto dobrze znanymi być musiały własności więziennej karety. Kotlarzewski atoli uparcie obstając przy swoim, polecił rządcy więzienia wyprowadzić mnie nazajutrz rankiem kareta.

Widniało już niemal, gdy po ukończonem śledztwie znalazłem się w celi. Czułem się zmęczonym i rozdrażnionym. Osobistość Panocziniego, mimo całej mojej dla niego wyrozumiałości, okazała mi się niesympatyczną, a sprawa w którą wmięszala mnie moja nieostrożność — niejasną. Przestałem uznawać w moim znajomym sprzymierzeńca, a zacząłem w nim upatrywać godzącego na moją osobistą wolność wroga, przeciw któremu należało niemal występować obronnie. Ta okoliczność w obecnem położeniu okazywała się dla mnie trującą.

Nazajutrz rano wysłano mnie w karecie więziennej do biura prokuratora. Kto ani razu nie był zmuszony podróżować podobnym ekwipażem, ten nie może mieć pojęcia o mękach siedzącego w nim pasażera. Jestto właściwie ogromne pudło drewniane obite żelazną blachą o trzech okratowanych otworach i spoczywające na nieproporcjonalnie do ładunku ciężkiej koleśnicy. Wstrząśnienia, jakimi darzy podróżnego stykanie się kół tego piekielnego ekwipażu z lada jakim kamieniem, przy brzęku drgających wciąż szyb i skrzypie nigdy nie smarowanych osi rozdrażnia go, ogłusza wreszcie i ubezwładnia. Wyszędłszy też z tej karety, zataczałem się jak pijany.

Po jakich dwóch dobrych godzinach wyciekowania na kurytarzu, zawezwano mnie do biura gdzie zastałem barona i Kotlarzewskiego. Ten ostatni zauważywszy mnie wchodzącego, wy dobył z teki kilka listów po rosyjsku pisanych i nie zapatrzonych podpisami, a ukazując mi je, spytał o nazwiska autorów. Żądanie to, wywołujące zdziwienie z oburzeniem, zbyłem jak najkrótszą przeczącą odpowiedzią.

— Pan znasz dobrze nazwiska autorów przedstawionych mu listów, tylko nie chcesz nam ich wypowiedzieć — ciągnął Kotlarzewski — podobnem zaś postępowaniem możesz sobie bardzo zaszkodzić, my bowiem zmuszeni będziemy wszystko sprawdzać przez policję, a to zabierze wiele, bardzo wiele czasu.

W ślad zatem nastąpiła naoczna stawka między mną a żoną Panocziniego, którą zgodnie z danem mężowi jej przyrzeczeniem, uznałem za osobę zupełnie mi obcą. W dalszym ciągu tego śledztwa przyzywano do naocznej ze mną stawki nieznanne mi zupełnie osobistości, przeważnie policjantów.

Wreszcie ruszyliśmy z prokuratorji do owego hotelu szwajcarskiego, ja kareta więzienną, obaj zaś moi źli patronowie własnym swym ekwipażem.

Zamieniwszy tu jeden z pokoi gościnnych w kancelaryę i rozłożywszy akta śledcze i kodeks karny, Kotlarzewski przyzywał kolejno, poczynając od gospodarza domu wszystkich służ i domowników, a odczytując każdemu artykuł kodeksu karnego o ciężącej za zatajenie zbrodni odpowiedzialności, rozpoczął długie szczegółowe, względem mniemanego pobytu mojego w tym hotelu, badania.

Śledztwo to trwające do późnego zmroku mimo usilnych starań Kotlarzewskiego nie doprowadziło do zamierzonych rezultatów. Gospodarz bowiem jak i wszyscy służebnicy zeznali protokularynie, że osoba moja jest im zupełnie obcą.

Dalsze dni mego więzienia stawały się dla mnie coraz to przykrzejszymi. Zawiedziony w swych rachubach na moją dlań ofiarność Panoczini nie zaniedbał mnie przedstawić swym towarzyszom z strony jak najgorszej. Dzięki też jego intrydze, stronili oni od mej celi, oddając mnie w ciągły całych siedmiu miesięcy na pastwę samotności.

Absolutna ta samotność przy nieprzyjaznych dla egzystencji warunkach więziennych wpływała coraz niekorzystnie na moje usposobienie moralne. Do duszy mojej wkradały się cierpienia, przeciwko którym w całym mem obecnem otoczeniu daremnie szukałem reakcji. Nawet książki, ten jedyny przedmiot mojej dotychczasowej rozrywki przestały mnie nęcić. Powziąłem wstręt do jadła, co przy ciągłej bezsenności przyczyniało się coraz to więcej do wycieńczenia organizmu.

W końcu października zawezwano mnie do urzędu żandarmerji, dokąd podążyłem nie już w zabójczej karecie więziennej lecz piechotą.

Baron Giejking powitawszy mnie na dziedzińcu, oddalił straż prosząc mnie do mieszkania. Wkrótce nadszedł Panoczini. Tą razą mimo nastrojącej się okazji nie starałem się z nim wejść w rozmowę. Osobistość jego, od czasu ostatniego widzenia się naszego przy naocznej stawce, stawała się dla mnie nie tylko niesympatyczną ale poniekąd wstrętną.

Baron, któremu z toku śledztwa, wiadome było nieuczciwe ze mną postępowanie Panocziniego, występując obecnie nie już w roli żandarma, lecz osoby bezstronnej począł nalegać na tegoż by kie-

rując się rozsądkiem i honorem odwołał zamieszczone w swem zeznaniu te przynajmniej zmyślane fakta, które będąc mu obroną, mnie tamują drogę do wolności.

W pierwszej chwili Panoczeni przyrzekł za-  
dośćuczynić życzeniu barona, gdy jednak przyszło do zmiany protokołu, wycofał się z danego przyrzeczenia.

Odprawiwszy go, baron oznajmił mi w sekrecie o przybyciu do Kijowa w mej sprawie mego dobrego znajomego Janusza Darowskiego, przyrzekając ułatwienie mi widzenia się z nim, w swem mieszkaniu. Jakoż wzięwszy odemnie słowo honoru na zachowanie tej rzeczy w tajemnicy posłał po niego swój własny ekwipaż.

W ciągu niespełna godziny miałem przed sobą upragnionego gościa.

Krępowani obecnością barona, który jednakowoż wkrótce nas opuścił, mieliśmy sposobność do otwartego porozumienia się w podjętej przez Darowskiego sprawie mego wyzwolenia. Darowski w istocie nie szczędził w tym względzie swego trudu, ale napotkał na wcale znaczne przeszkody a w szczególności ze strony Kotlarzewskiego, który mu wzbronił nawet widzenia się ze mną. O zupełnem oswobodzeniu mnie i mowy być nie mogło, idąc więc za radą barona zamierzał on czasowo tylko wyzwolić mnie z więzienia za poręką. Licząc na swe rozległe stosunki Darowski nie wątpił o znalezieniu odpowiedniego dla mnie poręczyciela. Kotlarzewski jednak w którego rękę spoczywała moja dola okazał się usposobionym dla mnie jak najgorzej. Ująć sobie tego zimnokrwistego prześladowcę można było tylko znacznieszą kwotą pieniężną, a na tych obydwoim nam zbywało. Bądź co bądź Darowski nie tracił nadziei dopięcia swej misji, w której umyślnie przybył tu ze Lwowa.

Rozmawialiśmy z sobą długie godziny, baron bowiem niechcąc nas niepokoić swoją obecnością przysłał nam wieczерzę, pojawiając się nie wcześniej jak około północy w którym też to czasie nastąpiło nasze rozstanie.

W parę dni potem wezwano mnie powtórnie do urzędu żandarmerji, gdzie dowiedziałem się od barona, że Darowski natrafiwszy na twardy opór ze strony Kotlarzewskiego wyjechał do Lwowa, pozostawiając dalsze o mnie staranie czasom przyszłym.

Niespodziana ta wiadomość była dla mnie ci-  
sem okropnym, wstrząsnęła ona tak dalece moim organizmem, że na razie utraciłem świadomość sie-

bie. Zdawało mi się, że krew moja ścina się pod oddechem mrozu w miljardy kłujących dotkliwie igieł. I rzeczywiście, rażąco przykre nowiny oddziaływały na organizm człowieczy podobnie jak np. raptownie parujący eter na będącą z nim w pośrednim zetknięciu wodę. Ogołocona nagle z całej swej ciepłoty ciecz, momentalnie przechodzi w stan krystaliczny.

Obecnie nie mogłem się już więcej pogodzić z myślą powrotu do więzienia, a całe moje jestwo duchowe i cielesne zapłonęło jedną gwałtowną żądzą wolności.

W takim to stanie krańcowego napięcia, ulegając silnym zaprosinom barona, zmuszony byłem towarzyszyć mu przy obiedzie. Położenie moje okazało się nie tylko kłopotliwem ale nieznośnem; nie będąc usposobionym do przyjmowania udziału w rozmowie zarówno jak w jadle, zmuszony byłem całym zasobem woli zasłaniać tę wewnętrzną walkę której przed chwilą stałem się siedliskiem. Na szczęście baron nie był w usposobieniu wnikania w proces mojej myśli, a pod wpływem spełnionych kilku kieliszków nalewki rozplątany język wpadał w ten stan zapału opowiadania, który niewymaga obecności słuchających.

Słowa jego wydające mi się brzęczeniem szerszenia przybrały dla mnie znaczenie językowych dźwięków, wtedy mianowicie, gdy jako przedmiot opowiadania wystąpiły krwawo zapisane w mej pamięci wypadki warszawskie. Nie kryjący swych dla Polaków sympatyj, baron wspomniął z oburzeniem o niejednych gwałtach dokonywanych przez siłę zbrojną na heroicznym narodzie, — zasłaniając jednakże osobę carską, winę całą zwał na namiestników i wyższe osobistości urzędowe. — Gdy zaś z kolei przyszła mowa na tragiczną śmierć jego towarzysza broni i osobistego przyjaciela, gubernatora wojennego Gerstenzweiga \*) ofiary win ówczesnego namiestnika hr. Lamberta, baron nagle posmutniał i powiodłszy mnie do sąsiedniego pokoju, wskazał na wiszący tam obok biblioteczki portret nieboszczyka.

Zwracając się ku owemu portretowi, objąłem mimowolnie wzrokiem wierzchnią część szafki, o której gzyms spierał się koniec pełnego fu-

\*) Ojciec wspomnianego Gerstenzweiga generał korpusny rosyjski, rażony w 1849 r. na placu boju apopleksją, był rodowitym Polakiem, zabranym w niewolę jeszcze wyrostkiem w czasie rzezi pragskiej. Niezwykła urodziwość młodego chłopca ocalając mu życie, wprowadziła go na pokoje carskie, jako pazią, gdzie nazwisko jego zastąpiono niemieckiem. Syn jego, jako gubernator wojenny zastrzelił się w Warszawie w r. 1862.

terału rewolwerowego. Obok leżało kilka ostrych naboǳi; nie było więc wątpliwości, że futerał kryje w sobie owo w tej chwili najdrogocenniejsze dla mnie narzędzie.

Momentalnie postanowiłem stać się jego władcą a skoro tylko baron tamujący mi swą osobą dostępu do szafki, zwrócił się ku oknu, rzutem tygrysa cisnąłem się po upatrzoną zdobycz. Jednocześnie jednak zachwiałem się na nogach szukając punktu oparcia na krawędzi stojącego przy szafce fotelu. Niestety! futerał był próżny.

Łoskot zakolysanego nagle fotelu tudzież zmieniony wyraz mej twarzy, nie uszły uwagi gospodarza. Spojrzawszy na mnie badawczo rzekł: pan zdajesz się być mocno czemś zalterowanym, ale to są skutki zamknięcia więziennego. Nie należy oddawać się rozpaczom. Udajmy się jeszcze raz do Kotlarzewskiego może też on skłoni się do wypuszczenia pana czasowo za poręką.

Wyprawiwszy mnie ze strażą do prokuratorji przyrzekł bezwzględnie sam za mną podążyć, gdzie też i spotkałiśmy się.

Kotlarzewski witając mnie wymuszonym ukłonem oznajmił mi o pobycie w Kijowie Darowskiego ubolewając zarazem, że przebieg śledztwa powstrzymał go od udzielenia mojemu znajomemu pozwolenia widzenia się ze mną.

Cheiał on coś mówić jeszcze w tej materji, lecz baron przerywając mu, zażądał stanowczej odpowiedzi względem uwolnienia mnie czasowo za poręką lub też kaucją 5000 rs., dodając, że Darowski na podstawie danego mu przyrzeczenia pojechał starać się o poręczyciela.

— Przed kilkoma dniami, ja sam byłem zatem — mówił Kotlarzewski — przyjrząwszy się jednak bliżej sprawie, przyszedłem do przekonania, że 5000 rs. jest sumą niedostateczną. Na panu ciężą zbyt poważne zarzuty, a granica austriacka nadto bliska Kijowa. Jeżeli go już wyzwolicz czasowo, to nie inaczej jak za kaucją 10000 rs.; a i to nie mogło by nastąpić zaraz, a tylko po upływie jakich kilku tygodni.

— Ale to bieda, że więzienie szkodliwie oddziaływa na jego zdrowie — zauważył baron, zresztą — dodał, polegając na pańskiej decyzji, zapewniłem Darowskiego, że w tych dniach sprawa ta zostanie załatwioną.

— Pod żadnym pozorem — rzekł sucho Kotlarzewski — niechaj czeka. Życie ludzkie długie, a więzienie przecież w ciągu kilku miesięcy jeszcze nikogo nie zabiło.

— Czy nie mógłbym się dowiedzieć o czasie ukończenia mego śledztwa? — spytałem Kotlarzewskiego.

— Nic stanowczego w tym względzie nie mogę panu dzisiaj powiedzieć — odpowiedział miarowym głosem.

— Wszakże najgłówniejszy z ciężących na mnie zarzutów o szerzeniu pism zakazanych, został obalonym zeznaniem właściciela hotelu szwajcarskiego i jego służby — przypomniałem.

— Ale oprócz tego zarzutu ciężą na panu jeszcze inne. Zresztą my nie możemy — mówił dalej z przyciskiem — poprzestawać na faktach uzasadniających nam podejrzenia w których posiadaniu już jesteśmy, ale starać się o zbieranie dotąd nam nieznanych; suma bowiem wszystkich decydować może dopiero o stopniu przestępstwa podejrzanego. Dopóki zaś tych faktów nie będzie w naszych rękach to i mowy być nie może o wypuszczeniu.

— Wszakże ja prosiłem tylko o czasowe wyzwoleńie i to za poręką — rzekłem.

— To wszystko jedno co na zawsze. Każdy człowiek bez względu na skrupuły sumienia i honoru bronić musi przedewszystkiem osobistej wolności. Ja wiem to z doświadczenia, chciej mi pan wierzyć, że tak jest — przekonywał mnie Kotlarzewski.

— Wszakże na obwinionym nie ciężą znowu tak ważne zarzuty, aby potrzebował ratować się ucieczką — zauważył przytomny tej rozmowie baron.

— To przyszłość okaże — odrzekł sucho Kotlarzewski. — Nauczeni doświadczeniem — mówił spojrzawszy znacząco na barona, — nie możemy przedwcześnie wypuszczać podejrzanego choćby ten był w istocie niewinnym, sam już pobyt w więzieniu czyni go w przyszłości winowajcą. Z tem wszystkim jednak — mówił zwracając się ku mnie — nie sądzę abyśmy byli w konieczności zatrzymywania pana w więzieniu przez jakie lata, lecz gdyby i tak wypadło to trzeba się umieć pogodzić z tą przykrą poniekąd dołą, zwłaszcza gdy tego wymaga bezpieczeństwo porządku państwowego. Ale — dodał wyjmując coś z pod papierów — oto są listy do pana, zabierz je z sobą; w więzieniu stanowiąc będą one nie równie większą rozrywkę, niż na wolności.

— Czy mogę już odejść? — spytałem, zabierając wręczone mi listy.

— Co się pan tak spieszysz? Mamy z sobą jeszcze do pomówienia. Oto papierosy, pal pan. Cheiałem jeszcze go spytać — odezwał się po chwili — w którym to miesiącu będąc w Warszawie, zabrałeś pan z mieszkania Lengnischa te dwa kuferki z książkami wzbronionemi? Dokąd je powiozłeś? Zastałeś pan u Lengnischa liczne zgromadzenie i kogo mianowicie?

— Wykazałem się już dawniej z mojej niebytności w Warszawie od r. 1863, nie pojmując więc do czego zmierzają te dręczące mnie pańskie zapytania. — odpowiedziałem do głębi oburzony.

— Do wykrycia prawdy — odrzekł flegmatycznie i podając mi protokół, zażądał pomieszczenia w nim odpowiedzi, poczem z niezadowolaniem biorąc zwrócony mu protokół mówił dalej: Muszę pana zrobić uważnym, że ta jego nieotwartość może mu na przyszłość bardzo poszkodzić, zwłaszcza że sprawa wcale niepomysłny wzięła obrót. Czy wiesz pan, że ów list od dyrektora cukrowni, którym pan usprawiedliwiał swój przyjazd do Rosji nie posiada przypisywanej mu przez niego wartości.

— Alboż to p. Z. odrzeka się od własnego swego listu? — spytałem.

— Nie wyrzeka on się wprawdzie swego listu — mówił Kotlarzewski — tem nie mniej jednak wnioskować muszę z jego wymijającej odpowiedzi, że on sam powątpiewać musi o pańskiej niewinności. Jednym słowem sprawa źle stoi i o ile mi się zdaje, to po skompletowaniu dowodów będziemy w możności wytoczyć mu proces o szerzenie w cesarstwie rewolucyjnej propagandy. A teraz — oznajmił, kiwnąwszy ręką na żołnierzy — możesz pan odejść i nie prędko się już zobaczymy.

Przyrzeczenia swego dotrzymał, albowiem w ciągu całego półrocza nie zawezwał mnie ni razu.

(Ciąg dalszy nastąpi).

## RUCH NAUKOWY.

### Powstanie ziemi

I STOPNIOWY ROZWÓJ ŻYCIA ORGANICZNEGO

na jej powierzchni.

Podług N. S. Skaler'a z „Życia“.

#### I.

*Czem była ziemia, zanim rozpoczęło się na niej życie organiczne.*

Skąły nie mogą nam nie powiedzieć o najdawniejszej epoce dziejów ziemi, a wszystko, co o niej wiemy, pochodzi z badań astronomów, odbytych na odległych ciałach niebieskich, które po większej części ulegają tym samym przemianom, jakim ulegać musiała nasza ziemia, zanim na niej ukazały się istoty żywe. Prawdopodobnie ziemia przeszła następujące przemiany:

Na początku nasza ziemia, razem ze słońcem i innymi planetami układu słonecznego, stanowiła olbrzymią masę bardzo rozcieńczonej substancji, podobnej do gazu. Gdyby na nią spoglądano z odległych gwiazd przez bardzo silny teleskop, ujrzałoby ją w postaci słabo świecącej t. zw. mgławicy. Wszystkie cząsteczki tego gazu wzajemnie się przyciągały i wszystkie dążyły do środka masy, aż wreszcie na siebie spadły i zaczęły wspólnie krążyć, w tym samym kierunku, w jakim dziś krążą planety naokoło słońca. Następnie od tej całej masy zaczęły się odrywać obrączki, podobne do tych dziwnych pierścieni, jakie otaczają planetę Saturna.

Skoro obrączki dostatecznie oderwały się od masy wśrodku nich się znajdującej, rozrywały się i tworzyły kule; a tak jak zewnętrzne obrączki Saturna zamieniły się na księżycy, tak podobnie każda obrączka, z tych wielkich obrączek oderwanych od całej masy gazowej, zamieniała się na oddzielną planetę. Następnie każda z tych planet zmniejszała się, tworząc oddzielne małe obrączki, podobne do tych wielkich, z jakich powstała. Kiedy zaś znów te obrączki się przerwały, utworzyły się z nich księżycy, jakie znajdują się dziś przy każdej planecie, wyjąwszy planety Merkurego i Wenus. Jakby dla pokazania nam, iż w ten sposób powstały planety i księżycy, planeta Saturn zachowała dotąd jedną ze swoich obrączek niezamienioną na księżyc, to jest, istniejącą w swej pierwotnej postaci. Chociaż niemożna z zupełną pewnością twierdzić, iż takim było pierwsze stadjum naszej ziemi, to wszakże bardzo jest prawdopodobnem, że takim być ono musiało.

Kiedy masa gazu, z której powstała nasza ziemia, oddzieliła się od olbrzymiej masy układu słonecznego i przybrała postać kuli, to prawdopodobnie przez długi jeszcze czas pozostawała w stanie gazowym, a miała średnicy przeszło 100,000 mil, to jest przechodziła poza granicę dzisiejszej orbity księżycy. Musiała być wówczas jeszcze bardziej gazową, niż powietrze dziś otaczające jej powierzchnię; — lecz w miarę jej kureczenia się i przeobrażania na bardziej stałe ciało, utworzyła się na niej zewnętrzna obrączka, która z czasem się przerwała i z niej powstał nasz księżyc.

W miarę coraz większego zgęszczania się masy naszej ziemi, z powodu spadania jej cząsteczek do środka, wytwarzała się w jej wnętrzu wielka ilość ciepła. Kiedy meteor spadnie na ziemię, albo kiedy młot uderza żelazo, to skutek nagłego powstrzymania ruchu wywiązuje się wielkie gorąco, to jest, powstaje toż samo zjawisko,



a ponieważ cząsteczki spadały do środka masy ziemi, przeto wewnątrz jej, a z niem i cała ziemia coraz bardziej się rozgrzewała, aż wreszcie gaz wskutek skupienia swoich cząstek zamienił się w bardzo gorącą płynną kulę, nie o wiele większą od dzisiejszej ziemi. Ponieważ zaś próżna przestrzeń wszechświata posiada bardzo niską temperaturę, przeto ta wielka ogniopłynna masa materji ziemskiej stopniowo się oziębiała, stygła, twardniała, aż wreszcie pokryła się skorupą zastygłych skał, pod którą znajdowała się gorąca masa. Następnie spadła na powierzchnię ziemi woda, jaka się nad nią unosiła w postaci pary — i utworzyła oceany. Teraz dopiero stała się podobną do tej, jaką znamy; posiadała już cały mechanizm życia fizycznego, wiatry, prądy oceanowe i rzeki, jednym słowem, wszystko już było przygotowane na przyjęcie istot organicznych.

Nie wiemy, w jaki sposób powstały te istoty ale wiemy tylko to, o czem nas przekonywają wszystkie dotąd poczynione doświadczenia, iż życie nawet w najniższych formach pochodzi zawsze od innego życia — i że w najprostszej swojej postaci nie może powstać z martwej materji; raz jednak powstawszy, posiada dążność do nieustannego doskonalenia się.

## II.

### *Dowody starożytności ziemi.*

Pomału i z wielką trudnością dowiedzieliśmy się, jak starożytną jest rzeczywiście nasza ziemia. Wiele obrazowych opowiadań o jej nagłem stworzeniu znajduje się w świętych księgach rozmaitych wschodnich ludów, nie należy jednak uważać takowych za wierne przedstawienie pierwotnych dziejów ziemi. Tak krótkim jest nasze życie, iż nie możemy sobie nawet wyobrazić, jak liczne minęły wieki od czasu, kiedy istoty żywe ukazały się na świecie; możemy co najwięcej przypomnieć sobie zdarzenie z jednego stulecia, ale najdłuższe życie ludzkie jest tylko kroplą w wielkiem morzu epoki geologicznej.

Rozważmy teraz kilka najprostszych dowodów wielkiej starożytności ziemi.

Weźmy w rękę pierwszy lepszy kawałek żwiru: zastanówmy się, ile to upłynąć musiało czasu, zanim się tak zaokrąglił — jak długo tłukły go fale na morskim brzegu, jak długo przewracał się w łożysku rzeki, lub jak długo mełł go lodowiec, zanim nadał mu tę postać; a jednak z tej substancji żwirowej powstały ogromne skały, grube na tysiące stóp, a pokrywające setki mil ziemskiej po-

wierzchni. Spójrzmy na piasek leżący na wybrzeżu morskiem i na piaskowiec pokrywający ziemię na tysiące stóp grubo — i zastanówmy się, ile to potrzeba było czasu, aby go rozbić na tak drobnutkie ziarna — i zanieść je na morze, w którem nowe z niego powstały skały. Skoro zaś te skały zostały zbudowane na dnie morskiem, po wielu wiekach nastąpiło ich wyniesienie nad poziom, a następnie wyżłobienie w nich dolin i wzgórz.

Zastanówmy się nad pokładem wapienia grubym na tysiące stóp, jaki się w wielu krajach znajduje, zważmy iż cały on powstał ze skorup zwierząt, które żyły w głębi morza i z wolna składały swe szczątki na budowę warstw wapiennych. Prawdopodobnie tworzenie ich odbywało się bardzo wolno, tak iż pokład wzrastał co rok zaledwie na jedną setną cala; ukończone więc zostały po milionie dwukroć stu tysiącach lat. W wielu okolicach rzeki, przerywając się przez wapienne góry, wyżłobiły głębokie doliny. Oprócz tego na starym lądzie naprzykład w Europie, możemy nieraz sprawdzić, o ile pogłębioną została dolina w przeciągu tysiąca lat, czyli licząc przecięciowe życie człowieka lat 50, w przeciągu dwudziestu pokoleń — i zład dochodzimy do wniosku, iż dolina pogłębia się na dwie stopy co sto lat; a ponieważ nieraz głębokość jej dochodzi do trzech tysięcy stóp, przeto wyżłobienie jej trwało 150,000 lat, a rzeczywiście znacznie dłużej. Albowiem pomału kruszyły się wzgórzki okalające dolinę, jak również i dno doliny, tak, że od czasu, kiedy woda zaczęła spływać po tych pochyłościach i zamieniać je na wzgórzka i doliny, upłynąć mogło dwa razy więcej czasu.

Weźmy inny przykład. Spadek Niagary pomału cofnął się w górę rzeki, tak że w przeciągu wieków oddalił się od Lewistown, w pobliżu jeziora Ontario, do tego miejsca, w którem dziś się znajduje. Postępuje on coraz bardziej w górę rzeki, ponieważ ustawicznie niszczy skałę, po której spływa — na 50 stóp co sto lat; tak więc przeszło 70 tysięcy lat musiało minąć od czasu usunięcia się wodospadu z poprzednio zajmowanego miejsca.

Południowa część półwyspu Florydy utworzoną została przez rafy koralowe, które postępowały jedne po drugich. Agassiz obliczył, że do wzrostu tych raf potrzeba było kilkuset tysięcy lat. Wszakże obie te wielkie prace: budowa raf koralowych Florydy i kruszenie skał przez spadek Niagary, należą do najświeższych zmian, jakie powstały na ziemi, tak dalece, iż prawie każda dolina rzeczna i każdy wzgórek na ziemi, wyżłobione zostały znacznie dawniej.

Wiemy, że w ogóle lądy bardzo pomału się podnoszą, co dostrzegać się daje jedynie na brze-

gach. Największą zmianę pod tym względem widzimy na wybrzeżach Szwecji, której ląd podnosi się o trzy stopy na sto lat. Z drugiej strony wiadomo nam, że wiele lądów ulegało kilkakrotnemu obniżeniu pod poziom morza i podnoszeniu nad jego powierzchnię. Podobne zmiany odbywają się w tak długim przeciągu czasu, iż trudno mieć o nim należyte wyobrażenie.

Wreszcie z samego badania istot żywych na ziemi i z rozmaitych jeszcze innych okoliczności wnosić możemy o olbrzymiej przeszłości, jaka poprzedziła obecną epokę.

Rosliny i zwierzęta ulegają bardzo powolnym przeobrażeniom, a wiemy, że w ostatnich czterech tysiącach lat nie bardzo się zmieniły, gdyż w katakumbach Egipskich znaleziono bardzo wiele mumij zwierząt i roślin, zupełnie podobnych do żyjących gatunków. Ztąd widzimy, że istoty organiczne na ziemi bardzo powoli się zmieniają, ale wiemy też, iż jeden gatunek powstaje, a drugi wymiera: trzeba więc bardzo długiego perjodu czasu, aby stanowcza nastąpiła zmiana w organizacji zwierząt i roślin. Skądinąd znów wiemy, że kilkakrotnie, a może nawet i 50 razy, nastąpiła na ziemi zupełna zmiana żywych istot, tak, że gdyby jakaś rozumna istota mogła żyć przez wszystkie te niezliczone wieki, od czasu kiedy stworzenia ukazały się na ziemi, to ujrzałaby, że przynajmniej 50 razy zmieniło się zupełnie królestwo roślinne i zwierzęce.

Mamy jeszcze wiele innych dowodów, że ziemia istnieje daleko dłużej, niż wyobrazić sobie możemy. Skombinowawszy ze sobą wszystkie fakta, dojdziemy do bardzo prawdopodobnego wniosku, że od czasu, w którym na ziemi po raz pierwszy ukazało się życie, musiał upłynąć długi perjod, obejmujący od 100 do 400 milionów lat. W następujący sposób możemy obrazowo sobie przedstawić tę długość czasu: jedna mila angielska ma około 5,000 stóp; przypuśćmy, że najdłuższe życie człowieka trwa sto lat. Odmierzmy jeden krok na tej mili, mający przedstawić długość życia ludzkiego, wówczas cała mila będzie tylko wyobrażała pół miliona lat, a tysiąc takich mil przedstawi dopiero na rysunku czas, od kiedy życie pojawiło się na ziemi. Jeśli się zastanowimy nad tem, co się zdarza w przeciągu krótkiego naszego życia, jeśli policzymy te liczne trzęsienia ziemi i wybuchy wulkaniczne, burze uderzające o brzegi, wyniesienia się z morza obszernych przestrzeni ziemi lub ich zapadania, rozmaite choroby epidemiczne i klęski głodowe, oraz niezliczoną ilość innych zmian — i pomnożymy to przez milion, to otrzymamy bardzo słabe wyobrażenie o tem, co się działo w zanikłej przeszłości ziemi.

Jednym z wielkich zadań geologów jest skreślenie dziejów ziemi, odgadnięcie, jaką postać miały lądy i morza w zamierzchłej przeszłości, w każdej szczególnej epoce dziejów ziemi; jakie istoty żyły w rozmaitych czasach i w jakim porządku po nich następowały inne wyższe postacie. Było to zadanie trudne i mozolne, lecz, dzięki tysiącom osób niem się zajmujących, posiadamy obecnie dostateczne wyobrażenie o stanach, przez jakie ziemia przechodziła.

Jakkolwiek niepodobna w kilku słowach dać wyobrażenie o tem, w jaki sposób udało się geologom spoić ze sobą te luźne, rozrzucone szczątki przeszłości i utworzyć z nich dzieje ziemi, to przecież potrzeba, iżby czytelnik miał choć przybliżone o tem pojęcie.

Jeden z najpożyteczniejszych przewodników, objaśniających nam dzieje ziemi, znajdujemy w warstwach skał lądowych.

Weźmy dla przykładu przecięcie góry Blue-Ridge w Wirginii, na wschód od Cincinnati i Ohio. Pomarszczone skały leżące z prawej strony, składają się z granitu i innych skał krystalicznych, po lewej ręce znajdują się pokłady wapienia, piaskowca i łupku, obok pokłady zlepieńców, a dalej pokłady węgla. Ponieważ zaś wszystkie te pokłady — oprócz węglowych — powstały na dnie morskim, widzimy jak wielkie musiały zajść zmiany od owego czasu, kiedy najwcześniejsze z nich się utworzyły.

Zmiany te były następujące: najprzód wzniosły się ponad morze góry Blue-Ridge, zanim utworzyły się wszystkie inne. Za tem przypuszczeniem przemawia fakt, iż najniższe pokłady obejmują żwir i leżą nad pokładami granitu itd., w takim położeniu, które się zowie uwarstwieniem niezgodnem, to jest, że późniejsze pokłady nie pochylają się w tę samą stronę, jak dawniejsze; ztąd widzimy, że zanim późniejsze skały powstały, dawniejsze pochylili się i zostały pokryte żwirem. Dalej widzimy, że te pokłady razem z warstwami węglowemi zostały sfaldowane i utworzyły góry Allegańskie.

Postępując dalej ku zachodowi, widzimy, że skały tworzą szeroki grzbiet. W pobliżu Cincinnati znajduje się płaski szeroki i niski grzbiet. Pilnie badając położenie i cechy jego skał, możemy się przekonać, że powstał on na długi czas przed utworzeniem się pokładów węglowych. Ze strony zachodniej znajdują się w nim skamieniałe rafy koralowe, takie, jakie dziś się tworzą w strefie gorącej, tam gdzie prąd uderza o brzegi wyspy. Następnie dostrzegamy, że niektóre skały są grubsze ku wscho-

dowi, a cieńsze ku zachodowi. Liczne są pokłapy żwiru w bliskości Blue-Ridge, a na wschód coraz bardziej znikają i zastępuje takowe piaskowiec lub warstwa delikatnego mułu. To nas przekonywa, że ląd musiał leżeć na wschodzie dawnego dna morskiego, na którym leżały te osady, albowiem żwir, w miarę oddalania się od brzegów, coraz bardziej się zmniejsza.

Jeszcze w inny sposób geologowie mogą się dowiadywać o kolejnym następstwie po sobie geologicznych zjawisk i stanie ziemi w ubiegłych epokach. Z powyższego przekroju skał można wyprowadzić jeszcze inne wnioski, oparte na nieomyślnej podstawie; lecz zdaje się iż dosyć już powiedzieliśmy, aby pokazać, w jaki sposób geologowie pracują. Skały stanowią jakoby wielką księgę kamienną, której strony częstokroć są poszarpane, a litery trudne do odczytania, — ale po dokładnem rozpatrzeniu się w tych archiwach ziemi odgadniemy ich znaczenie i odczytamy bardzo proste jej dzieje.

### III.

#### *Dzieje życia organicznego na ziemi.*

Z notatek zapisanych na stronicach kamiennych archiwów ziemi nie może odczytać geolog tego, co się działo w owym wielkim dniu, w którym powstały na ziemi pierwsze istoty organiczne. Skały ulegały od najdawniejszych czasów — wskutek działania ciepła, wody i ciśnienia — ciągłemu przeobrażaniu, i z tego powodu nie zatrzymały w swoich starożytnych pokładach żadnych szczątków najdawniejszych pogrzebanych w nich zwierząt.

Takie starożytne skały, w których nie znajdujemy żadnego śladu istot żywych, zowiemy z grecka azoicznymi, lub też archaicznymi, to jest starożytnymi. Powstały one bezwątpienia z mułu, piasku i wapieńca, lecz uległy zmianie, przeobraziły się na pokłady łupków krystalicznych, gnejsu, granitu, marmuru i innych skał krystalicznych. Kiedy skała się krystalizuje, jak już nadmieniliśmy, nikną znajdujące się w niej skamieniałości, podobnie jak pieniądze tracą swój stempel i postać, skoro zostaną stopione w kociołku jubilera.

Starożytne skały, leżące najgłębiej w ziemi, bywają bardzo grube. Budowa ich trwała przez czas bardzo długi, a deszcze i fale morskie musiały znieść całe wielkie lądy i dostarczyć materiału do ich utworzenia. Prawie napewno twierdzić można, że zanim dokończyła się ich budowa, upłynęło tyle czasu, ile było potrzeba do utworzenia skał wszystkich następnych epok. Życie na naszej ziemi powstało w tym długim perjodzie epoki archaicznej,

ale dopiero w skałach leżących na pokładach tych skał znanych pod nazwą epoki Kambryjskiej i Syluryjskiej, znajdujemy stworzenia podobne do dzisiejszych koralu, raków, ślimaków i innych. W tej epoce dziejów ziemi nie było jeszcze na niej zwierząt kręgowych, to znaczy: nie było zwierząt lądowych ssących, ani płazów, ani ryb. Zdaje się, iż oprócz powyżej wymienionych stworzeń, nie było wówczas innych, a z roślin tylko najniższe wodorosty, paprocie i prawdopodobnie mchy. Również zdaje się, iż wówczas nie było jeszcze wielkich lądów, lecz tylko mnóstwo wysp, które leżały na miejscu dzisiejszych lądów.

Wszakże chociaż istoty żywe były w owej epoce bardzo pierwotnych kształtów, to przecież przedstawiały tak wielką różnorodność form, jaką i dziś znajdujemy na dnie morskiem.

Epoki Kambryjska i Syluryjska — to jest, te które poprzedzały ukazanie się ryb na ziemi — musiały trwać przez wiele milionów lat, w ciągu których nie zaszły wielkie zmiany na ziemi. W tym okresie czasu, kilkanaście razy zmieniała się fauna mórz, powstało i zagięło mnóstwo gatunków, jednym słowem życie organiczne wielkim ulegało przemianom. Po zaginionych formach dawnych następowały nowe, bardzo podobne do poprzednich, a tylko tu i owdzie dawał się dostrzeżać pewien postęp właściwy każdej epoce. Wreszcie pod koniec tej epoki, żyjące istoty wzniosły się o parę szczebli wyżej od tych, jakie istniały na jej początku, — o czem dokładnie przekonać się możemy z przechowanych skamieniałości.

Następna epoka ziemi znana jest pod nazwą epoki Dewońskiej — i odznacza się szybkim rozmnożeniem się ryb, chociaż bowiem ryby istniały już pod koniec epoki Syluryjskiej, dopiero jednak w epoce Dewońskiej znacznie się rozpowszechniły. Teraz dopiero ukazali się owi ostrymi zębami uzbrojeni rozbójnicy wśród spokojnych wód oceanu — łepiciele spokojnego rybiego rodu mórz dawniejszych.

Silniejsze ryby napastowały słabsze, pożerały je, lub zmuszały do ucieczki, jednym słowem, zdaje się iż owe ryby drapieżne stały się powodem wielkich zmian w faunie mórz ówczesnych.

W skałach pochodzących z epoki Dewońskiej znajdujemy dowody, że lądy w owym czasie były pokryte lasami, składającymi się z karłowatych paproci drzewiastych, w których cieniu żyły pierwsze zwierzęta oddychające powietrzem, mianowicie owady podobne do wielkich karaluchów. W tej epoce dziejów ziemi, liczba ryb rosła ustawicznie, a w morzach żyło wiele koralu i szkarłupni, wogóle jednak

wyjawszy powiększenie ilości gatunków rybich, nie dostrzegamy zbyt wielkiej różnicy pomiędzy zwierzętami tej epoki i epok poprzednich. Gatunki zwierząt są inne, niż w epoce Syluryjskiej i Kambryjskiej, ogólny jednak charakter fauny pozostał bez zmian.

(Dokończenie nastąpi)

## Kronika powszechna.

— W dniu 1. września otwartą została wystawa krakowska przy mniejszym współudziale dostojnych osób niż pierwotnie sądzono, ale przy napływie znacznym zaproszonych gości i publiki; wszystkie działy jeszcze nie gotowe, z wyjątkiem wystawy inwentarzy, który się prezentuje bardzo pokaźnie. Dokładne sprawozdania z wystawy znajdują się we wszystkich dziennikach. „Ruch“ umieści w jednym z najbliższych numerów spis przedmiotów wystawionych przez kobiety.

— Dyrektor stacji bakterjologicznej w Warszawie wydał sprawozdanie o leczeniu wścieklizny w latach 1886—87 według metody Pasteura. Z 230 chorych, 227 zostało wyleczonych, umarło trzech tylko.

— Biblioteka po Gustawie Zielińskim, autorze „Kirgiza“, przeszła na własność jego syna, który dla jej pomieszczenia w swych dobrach, buduje osobny dom.

— Uniwersytet kijowski ogłosił swym wychowankom, że bezwarunkowo wzbronione im jest litografowanie wykładów i wszelkich konspektów lekcji.

— Około godziny 9 wieczorem w Wilnie, z d. 7. na 8. sierpnia na wschodniej części nieba ukazała się czerwona łuna. W tym czasie deszcz padał. Wszyscy sądzili, że po za miastem szerzy się ogień. Łuna ta aż do godz. 11 świeciła, chociaż pożaru nigdzie nie było widać. O g. 12 północna część nieba była równie silnie oświetloną, na wschodniej zaś było zupełnie ciemno. Deszcz padał bezustanku; pomimo to tak było widno, że bez wysiłku można było czytać. Około 1 godz. po północy deszcz, szalony wicher i światło zaczęły słabnąć równocześnie. Termometr pokazywał 11.5° R., barometr zaś w ciągu godziny spadł z 746 do 744 mm.

— W Astrachanie staraniem miejscowego zarządu przemysłu rybnego, zakłada się Muzeum ichtjologiczne.

— Na utrzymanie stacji rolniczej w Sobieszynie wyznaczono 3300 rs. rocznie: laboratorium rozbiorowe już urządzone zostało kosztem 2000 rs. a pola w części eksploatowane w tym roku, całkowicie zajęte zostaną na próby w roku przyszłym.

— Pisma poznańskie donoszą, że ze szkół dochodzą coraz to smutniejsze wiadomości. Nietylko w wielu miejscach w szkołach ludowych zmniejszono liczbę godzin na naukę języka polskiego, ale w niektórych zupełnie je nawet z planu szkolnego usunięto.

— Studenci we Wiedniu postanowili na pamiątkę Hanusza wmurować tablicę marmurową w jednym z miejscowych kościołów.

— Ed. Schultz, wychowaniec szkoły technicznej kolei Wiedeńskiej, wynalazł zegar, kontrolujący kursa dorożek.

— Profesor uniwersytetu berlińskiego Pflaiderer pracuje nad dziełem „Geschichte des Urchristenthums“.

— W Monachjum odbył się zjazd międzynarodowy zwolenników wolapücku. Prawie wszystkie narody miały na tym kongresie swych przedstawicieli, którzy przez dwa dni obradowali. Pani Weiss w wolapücku przemówiła do Schleyera, wynalazcy tego języka. Schleyer wypowiedział mowę, w której wyjaśnić się starał, że wolapück nie ma bynajmniej zamiaru wyrugowania innych języków, ma on za zadanie ułatwić stosunki oddalonych ludów. Na ostatnim swem posiedzeniu kongres postanowił prosić rząd niemiecki, a następnie i inne rządy, aby można było przysyłać telegramy w wolapücku według taryfy. Przedstawiciel Danji oświadczył, że rząd duński zobowiązał już telegrafistów do wycuczenia się wolapücku. Inny członek oświadczył, że w Rosji stacje telegraficzne przyjmują już telegramy w wolapücku.

— Paryżka akademja medyczna energicznie wystąpiła przeciwko nużeniu umysłów uczniów szkół publicznych. Na jednym z ostatnich swych posiedzeń przyjęła ona, po ożywionych rozprawach, następującą rezolucję: „Akademja medyczna zwraca uwagę rządu i społeczeństwa na niezbędną zmianę istniejących porządków szkolnych zgodnie z prawami higieny i wymaganiami fizycznego rozwoju dzieci i młodzieży. Sądzi ona, że kolegia i licea, przeznaczone dla internów, powinny znajdować się za miastem, dalej, że czas rekreacji uczniowie powinni spędzać w obszernych pomieszczeniach, a pokoje klasowe winny być doskonale oświetlone i przewiewane. Nie zatrzymując się na programach naukowych, względem których akademja rekomenduje znaczne uproszczenia, nastaje ona jednak szczególnie na następujące punkty: należy powiększyć ilość godzin poświęconych przez dzieci na sen, wszystkim zaś uczącym się zmniejszyć czas zajęć i stosownie do tego dawać więcej czasu na odpoczynek.

— W dniu 25 września odbędzie się pierwszy kongres uniwersytecki w Medjolanie, na który zgłosiło się już 300 członków, prezydentemznaczony Coppino; przedmiotem będzie reforma uniwersytetów włoskich.

— W Londynie obchodzono pamiątkę położenia pierwszego telegrafu elektrycznego przez Wheatstone'a i Cook'a.

— Na wzór stacji biologicznych w Neapolu i Roscof, zaprowadzone zostały nowe tego rodzaju urządzenia na wybrzeżu Nowej Anglii, pod kierunkiem profesora A. Hyatt i w Nassau w Indjach zach., staraniem uniwersytetu w Baltimore, pod kierunkiem W. K. Brooksa.

\* \* \*

### Zmarli.

— Zmarł w drodze z Zakopanego Ludwik Radliński nauczyciel V. gimnazjum w Warszawie. Od lat kilku pracował nad słownikiem etymologicznym. Fragmentem z tej rozprawy jest broszura p. t. „Wyrazy obce w sonetach Mickiewicza“ Nadto zmarły drukował kilka artykułów w pismach specjalnych, zwłaszcza pedagogii poświęconych.

— W Piotrkowie zmarł zasłużony pedagog Leon Rzeczniewski. Z prac jego zasługuje na zaznaczenie „Dawna i teraźniejsza Łomża“ r. 1861, źródłowa monografia, ceniona jako materiał historyczny do dziejów miasta. Zmarły był korespondentem dzienników warszawskich.

— Ryszard Jeffries, ulubiony autor angielski, który wizerunkami społeczeństwa swego pozyskał głośne imię, zmarł w Goring.

— Daniel Hirtz, poeta narodowy alzacki, zmarł w Strasburgu.



## Kobiety w przysłowiach ludu francuskiego, włoskiego i rosyjskiego.

Dodatek do porównawczej psychologii narodów  
(Wedle Leonarda Freunda).

(Ciąg dalszy).

Przysłowia ludowe, tak wymowne i pomyślowe, gdy chodzi o wyliczenie i karcenie wad i przywar kobiecych — podnoszą przecież czasami, jakkolwiek nader rzadko i wcale bez entuzjazmu niektóre dobre strony charakteru kobiecego i nie odmawiają zupełnie uznania zasługom i wartości żon, matek i gospodyń.

Włosi, którzy w ogólności mało mają zrozumienia dla uciech pożywania domowego i towarzyskiego posiadają jednakowoż przysłowia, polecające kobietę jako towarzyszkę tak do przemijających i krótkotrwałych zabaw towarzyskich jak i do wędrówki przez życie:

Bez kobietek obecności  
Nie znajdziecie wesołości.

Bez kobiety lub dziewczyny  
Smutno płyną ci godziny.

Gdy nie ma mąż żony u boku,  
Życie dlań jest bez uroku.

Przyznają bowiem bez ogródki, że:

Rozsądna żona zdobi dom.

Mądra żona jest kosztownym klejnotem.

Mężczyzna ów dobrze jest uzbrojony,  
Co wiernej poszczycić się może żony.

Kto dom swój i wierną żonę posiada,  
Temu dostało się szczęście nie lada.

Melon jest najulubieńszym owocem we Włoszech, zestawienie więc kobiety z melonem jest niewątpliwie dowodem pochlebnego o niej zdania:

Kto dobry melon i żonę posiedzie,  
Największe dla siebie dary zdobędzie.

Niektóre przysłowia wychwalają szczęście i błogosławieństwo domowego ogniska:

Lepiej w własnym domu spalona polenta,  
Aniżeli w obcym pieczone kureczka.

Dym z własnego komina więcej wart niż pieczeń  
z cudzej kuchni.

Kto dom swój kocha, tego Pan Bóg kocha.

Masz dom, chleb, oliwę i żonę do tego,  
Żyć możesz szczęśliwie i nie doznasz złego.

Powyższe przysłowia dowodzą również skromnych wymagań ludu włoskiego. Na ten temat przytaczamy jeszcze kilka wcale oryginalnych i dobitnych wyrażen włoskiej gnomologii.

Mój dom, moje życie; kto w nim nie jest, nie wejdzie  
doń, kto w nim jest, niechaj się niczego nie boi.

Kto nie ma domu, nie ma i ulicy.

co zapewne znaczy, że i po za domem nic go nie  
cieszy.

Wyjdziesz na miasto, napatrzysz, nazłóścisz się do syta,  
Wróć do domu, dobry napój i radość cię wita.

Ze wszystkich zaś najoryginalniejsze:

Kobieta bez męża podobna do lipy, mężczyzna bez żony  
podobny do bębna.

Znana francuska galanterja dla kobiet posuwa  
się w uznaniu zalet kobiecych o wiele dalej:

Femme prudente et bien sage  
Est l'ornement du ménage.

Femme bonne, vaut une couronne.

Des bonnes armes est armé  
Qui à bonne femme est marié.

Hostel sans femme  
Seigneur sans dame  
Ce n'est que vent.

Francuz tyle władzy przypisuje woli kobiecej,  
że z góry rezygnuje z wszelkiej opozycji, albowiem  
twierdzi:

Dieu veut, ce que femme veut.

Że sądownictwo francuskie proteguje kobiety i od ich piękności czyni zawisłym wymiar sprawiedliwości, tego dorozumiećby się można z następującego przysłowia:

Les belles femmes portent leur gain de cause.

Wreszcie znaną jest rzeczą, że francuska Prowancja była ojczyzną trubadurów, a dewiza tych największych wielbicieli rodu kobiecego brzmiała jak następuje:

A dien mon âme  
Mes armes au roi  
Mon coeur aux dames  
L'honneur à moi.

\* \* \*

Miłość to niezaprzeczenie najważniejszy rozdział w życiu kobiet, rozdział będący dla nich przedmiotem studjów praktycznych i teoretycznych przez cały ciąg trwania ich okresu młodości. Że przeciąg trwania tego okresu jest nader elastycznym, że on od najrozmaitszych zawisły jest okoliczności, że wreszcie po wszystkie czasy pokrywa go gęsta i nieprzenikniona mgła tajemniczości, to chyba jest już rzeczą powszechnie wiadomą. Nie dziw więc, że przysłowia ludowe światłem swej mądrości rozdział ten najgruntowniej objaśniają, że najobfitszych w tej mierze dostarczają sentencji. Przedewszystkiem konstatując z góry wszechpotęgę miłości i niemożliwość uchylenia się z pod jej wpływu, obdarzają ją niejako listem żelaznym, zapewniającym jej pochód zwycięzki i zaborczy. I tak twierdzą zgodnie przysłowia wszystkich narodów:

Miłość wszechwładnie na świecie panuje,  
Żadne jej prawo nie obowiązuje.

Miłości ani kupić, ani sprzedać nie możesz.

Nie istnieje starzec bez dolegliwości  
Ni serce kobiece bez kwiatu miłości.

Miłość nie zna miary.

W państwie miłości nie masz przymusu.

Piękniej i poetyczniej rzecz tę wyraża poeta polski, którego słowa stały się już własnością ludu:

Serce nie sługa, nie zna co to pany.

Przechodząc do kwestji trwania miłości, przysłowia z równą zgodnością dochodzą do rezultatu, że uczucie to kwiat nieśmiertelnika:

Serce pierwsze żyje a ostatnie umiera w człowieku.

Serce kobiece nigdy się nie starzeje.

Nie należy jednak przeoczyć szkodliwego wpływu, jaki i w tym względzie wywiera nieublagany zab czasu:

Jeżeli u starej baby raz miłość zawita,  
Dla kochanka pociecha już z niej nie wykwita.

Nie znajdziesz na świecie pono nic gorszego  
Nad starca, co gore miłością młodego.

To też i polskie przysłowie ostrzega, że

W starym piecu djabeł pali.

Mimo to jednakże zdarzają się wypadki, że

Jeżeli w starcu miłość zawita,  
Wówczas kwiatami zima zakwita.

Niechaj więc nikogo nie zadziwia spostrzeżenie:

Gdy starzec młodą żoneczkę posiedzie,  
Zazwyczaj dzieci mnoga ilość będzie.

W smutku za minioną pięknnością najlepszą pociechą dla kobiety jest wspomnienie, ono to pędzłem bardziej fantastycznym niż skrupulatnym maluje przed oczyma jej duszy wdzięczne obrazki przeszłości. Którą zaś wspomnienia takie napawają goryczą. o takiej słusznie powiada przysłowie włoskie:

Daremnie owa kobieta żyła,  
Która żałuje, że piękną była.

(Ciąg dalszy nastąpi).

## Panna Aurora.

Obrazek z życia kreolskiego  
KAROLA BAISSAC.

— Auroro, idź do twego pokoju!

— Aurora odeszła, ale miałem przecież dość czasu, aby choć pobieżnie przypatrzeć się odchodzącej. Była to młoda, nadzwyczaj wysmukła dziewczyna; z pomiędzy czarnych włosów spadających w nieładzie na czoło, wyglądała para czarnych jak węgiel oczu; suknia ciasna i krótka, o wątpliwej białości — oto było wszystko co mogłem w tym krótkim czasie zauważyć.

— A teraz, kochany mój panie, chciałabym z panem się rozmówić, rzekła pani Camouard do mnie. »Posłuchaj pan jak rzecz się ma. Jestem wdową, nie miałam nigdy dzieci, i żyłam zupełnie spokojnie, aż naraz ta troska zakłóciła ciche moje życie. Biedny mój brat umarł na wyspach Seszellach, a pewnego pięknego poranku przywiózł mi okręt

tę oto małą dziką, która jest moją bratanicą, i prócz mnie nie ma żadnych opiekunów. Cóż z nią teraz począć? «Auroro», rzekłam do niej, «oddam cię do zakładu panien Larru». — »Nie chcę, ciociu! — »Jakto, ty nie chcesz?« — »Nie, nie chcę, ciociu! — »Ale czy wiesz Auroro, że to jest grzechem, takim tonem mi odpowiadać? Czy nie wiesz, że dobrze wychowana młoda panienka powinna krewnym swoim być posłuszną? Jesteś jeszcze bardzo niewykształconą, jeżeli żądasz, aby ci tu dano zupełną żółtówką, tak jakby na Mauritius żyły żółwie; dlatego musisz uczęszczać do instytutu panien Larru».

«Ale ja nie chcę, ciociu!»

«Możesz pan sobie wyobrazić w jaki stan oburzenia to mnie wprawiło. A jestem nadzwyczaj żywego usposobienia, nie pochodzę z Maritius, ale z Martiguez. Krew moja wrzała! Ale zrozumiałam że to mogłoby tylko stan rzeczy pogorszyć, i odeszłam na chwilę na werandę, aby się uspokoić. Powiedziałam sobie: «Nie zapominaj, że ona jest pomimo to córką brata twego». Gdy wróciłam do niej, nie ruszyła się jeszcze z miejsca, na którym przedtem stała; oczy jej błyszczały się, jak węgle żarzące, i ostro spoglądały na mnie. »A więc Auroro«, poszukam dla ciebie osobnego nauczyciela, a nie poszlę cię do tych panien». Wtedy dopiero żarzące węgle nieco zgasły. Gdy szłyśmy na spacer, odważyłam się ucałować ją, oddała mi całus, nie kąsząc mnie przytem. Ale gdy mówię »oddała mi całus«, to jest to tylko zwrot utarty, bo »to« nie umie nawet całować, ociera nos swój o twarz moją, sapie przy tem trochę, i na tem koniec. O! dobrze się wychowuje młode panienki na wyspach Seszellach! Jednem słowem, mój panie, chciałam pana prosić, abyś udzielał jej lekcji, ucz ją pan tego, co sama chce, ale przedewszystkiem musisz pan ją nauczyć w ogóle coś chcieć. Będzie się to odbywać codziennie, od godziny czwartej do szóstej po południu, bo chciałabym, aby ją mało widziano nim nie nabędzie trochę szlif. Codziennie — czy zgoda? — wyjawszy soboty, gdyż niedziele chcę zawsze przepędzać na wsi. Jesteś pan jeszcze młodym, i tutaj obcym, dlatego mój wybór padł właśnie na pana; jeżeli pana podrapie, to skutek tego będzie mniej niebezpieczny na przyszłość. A zresztą wiem, że pan jesteś rozumnym człowiekiem, czytałam kilka powieści pańskich w gazecie. Tak, toby było załatwione, jutro pan rozpoczniesz».

Pani Camouard zadzwoniła, a służący wniósł madeirę.

Gdy przyszedłem w następnym dniu, powiedziano mi, że w salonie są goście, ale służący był już stosownie instruowany. Zaprowadził mnie do

ogrodu, gdzie w altanie urządzono pokój do nauki. Mały kwadratowy stół, dwa fotele, stara szafa na książki — wszystko już tam było, tylko panny Aurory nie było widać. Pytając spojrziałem na służącego; grube czerwone wargi otwały się szeroko ponad trzydziestu dwoma białymi zębami i z niemym tym uśmiechem, wskazał palcem na szczyt wysokiego drzewa. Było to drzewo bilimbi, a panna Aurora zjadała smacznie owoce najwyższej gałęzi.

Drapałem się zawsze chętnie po drzewach. Gdy byłem tuż obok niej, powiedziałem: «Nie są zupełnie dojrzałe, czy masz pani sól do nich?»

Panna Aurora nie miała soli. — Spróbowałem skosztować owoc bilimbi.

— Bez soli są one stanowczo zanadto złe; dobre to dla małych murzynek.

Panna Aurora rzuciła na mnie piorunujące spojrzenie. Począłem złazić z drzewa, a panna Aurora za mną.

— Kogo zowiesz pan małą murzynką? zapytała stawiając się przedemną w pozycji gotowej do boju.

— Małe dziewczęta, które mają czarną skórę.

Szybko odsunęła rękaw swój aż po łokieć. — Czy to jest czarne? — zapytała ostro.

— Nie, to jest białe — i rzeczywiście było białe jak śnieg. — Ale to? — zapytałem wskazując palcem na dolną część ramienia i rękę.

— To jest wina słońca.

— Ponieważ słońce różę czerwieni, bilimbi pozłaca, a młode panienki opala, więc różę i bilimbi mogą słusznie słońce lubić.

Nie odpowiedziała mi na to. Wciągu tej rozmowy przyprowadziłem ją nieznacznie do drzwi altanki; tu zdjąłem kapelusz, i grzecznym ukłonem zaprosiłem ją do wejścia. Sztynnie przeszła obok mnie, i usiadła przy stole. Ja zaś usiadłem na drugim fotelu i przez chwilę przyglądaliśmy się sobie milcząco. W oczach jej, czarnych jak węgiel, nie spostrzegłem ani cienia upartości lub podejrzliwości, lecz tylko pewien niepokój wskutek zagadki, która ją oczekiwała. Owal tej podłużnej twarzyczki nosik delikatny, malutkie czerwone usteczka z dolną wargą bardzo nieznacznie wystającą — czy to dobroć, czy głupota? — Uśmiech jej wyjaśni mi to ale trzeba ją nauczyć uśmiechać się. Broda jej, ostro zakreślona, miała łagodzący dołeczek. Szukam za czołem: jest ono niskie, ale pod firanką czarnych włosów jest przeciwieństwo miejsce dla myśli. A ten nieznaczny prawie fałdzik pomiędzy oczyma, czy nie powstał on z myślenia?

— Panno Auroro!

— Mój panie?

— Ciotka pani wezwała mnie, abym pani udzielał lekcyj. Czy nie jestem może pani niesympatycznym? Przypatrzyłaś mi się pani już uważnie, ale proszę, przypatrz mi się pani jeszcze raz dokładnie, zanim odpowiesz.

Spuściła oczy i wydawało mi się, że lekki rumieniec przebiegł przez jej lica. — Trzeba ją było dopiero uczyć rumienić się.

— W takim razie rozpocznę, ale proszę mi zupełnie otwarcie wyznać, jeżeli się pani nie będę podobał; — pani Camouard poszuka wtedy nauczyciela, który będzie pani sympatyczniejszym, gdyż potrzeba się nawzajem dobrze sobie podobać, jeżeli się ma codziennie po dwie godziny spędzać w cztery oczy; inaczej jest to rzecz okropnie nudna, a niechciałbym pani męczyć, panno Auroro!

Oczy jej uśmiechały się, ale ustezka jeszcze nie — trzeba z tem poczekać na później.

Na Seszellach zdobyła sztukę czytania i prawie sztukę pisania, potrzeba było tylko wprowadzić pewien ład pomiędzy linijkami cienkimi, a grubymi. Zająłem się tem bardzo sumiennie.

Po upływie miesiąca zjawiała się panna Aurora zawsze przedemną w altanie, a z przyjemnością obserwowałem jak z dnia na dzień ręce jej bieleły, a włosy usuwały się coraz bardziej z czoła. Po dwóch miesiącach czesała się już porządnie, a suknia jej była w porządku, któryby zniósł najostrzejszą krytykę. Umiała już uśmiechać się i rumienić się, ale czy nauczyła się całować? Przyszła otwarcie, że podczas lekcyj tem się niezajmowałem.

Pewnego dnia była altana próżna, gdy nadeszłem w godzinie przeznaczonej dla nauki.

— Panna jest chorą — rzekł służący — pani oczekuje pana w salonie.

— Chora! — Aurora jest chorą! — A w drodze powiedziałem sobie: — Uważaj, bo niepokoi cie to bardziej, niż powinno. — Pomówimy z sobą o tem później, panie profesorze, ale najpierw przywitamy się z panią Comouard, która na nas czeka w salonie.

— Pani Camouard oczekiwała mnie.

— A więc, kochany panie, czy źle zrobiłam, wybierając pana? — Ona się wyrabia, ta mała! myje sobie ręce, suknie swe nosi porządnie, nie łązi po drzewach, i siedzi spokojnie nie stawiając nóg na poprzeczne drągi krzesel. Dziś jest nieco ciepłą, małe, nieznaczne przeziębienie, ale ponieważ powietrze jest wilgotne, więc lekarz zarządził, aby nie wychodziła z pokoju. — A jak tam idzie z nauką? — Czy chętnie się uczy? — Tak przy-

najmniej wydaje się, całe trzy godziny spędza codziennie w pawilonie z książkami swemi i zeszytami, resztę czasu poświęca na szycie i haft. ale w tem nie bardzo celuje; odznacza się szczególnie w robotach muszelkowych. Ale to jest tylko wrodzony dar, jeżeli się jest urodzoną na Seszellach, to się już z wewnętrznej konieczności robi roboty muszelkowe. Tak, toby było załatwione, nie prawdaż? — Jeżeli będzie mogła lekcje rozpocząć, uwiadomię Pana o tem.

Pani Camouard zadzwoniła, a służący wniósł madeirę.

(Dokończenie nastąpi.)

## Kroniczka dla kobiet.

— Warszawianka Małgorzata Kreibich, po ukończeniu szkoły felcerskiej w Paryżu, wniosła podanie o pozwole nie złożenia egzaminu i praktykowania w Warszawie.

— W r. 1886 uczęszczało na wyższe kursy żeńskie 779 kobiet, a mianowicie: 243 na fakultet filologiczny, 500 na fizyczno-matematyczny, a 36 na specjalnie matematyczny. W ich liczbie prawosławnych było 587, starozakonnnych 139, innych wyznań 53, niezamężnych 748, zamężnych 31. Na kurs ostatni uczęszczało 122 słuchaczek, z których 85 złożyło egzaminy. Do tego doliczyć należy wielką liczbę kobiet z Rosji, uczęszczających do zagranicznych uniwersytetów i zakładów naukowych, szczególnie w Szwajcarii.

— W Petersburgu zakłada się kasa wzajemnej pomocy kobiet-lekarzy, akuserek i felczerek.

— Zofja Makarowa, znana autorka dzieł dla młodzieży, zmarła w Petersburgu.

— W zarządzie okręgu telegraficznego warszawskiego postanowiono zwrócić pilną uwagę na pracę tych telegrafistek, których mężowie służą także w tym samym zarządzie telegraficznym. Okazało się bowiem, że wiele z nich tylko nominalnie figuruje na służbie, a za to mężowie ich podwójnie, za siebie i za nich, pracują. Kontrola ma być odtąd bardzo ścisłą, celem zapobieżenia tego rodzaju sui generis nadużyciom, w tym celu żonaci telegrafistów przeniesieni zostali do centralnej stacji w Warszawie.

— Panna Eugenia Sołomko, rosjanka, otrzymała niedawno na uniwersytecie zurychskim stopień doktora filozofii i geologii. W tymże uniwersytecie, po obronie rozprawy „O rozwodzie według prawodawstw europejskich“ uzyskała doktorat prawa pani Kempin.

— W Sorbonie paryzkiej w tym roku, jak zwykle, polki odznaczyły się pilnością i uzdolnieniem.

— W roku przyszłym w Glasgowie urządzoną będzie pod protektorem królowej wystawa robót kobiecych wszystkich wywilizowanych i niecywilizowanych krajów kuli ziemskiej, przedtem zaś jeszcze, jako przygotowanie, odbędą się takie wystawy w marcu r. p. w Londynie i Dublinie.

— Ewelina Szlagerówna, rodaczka nasza prowadzi w Nowym Yorku pracownię malarską, oddając się głównie studjom rodzajowym.





# RUCH LITERACKI ARTYSTYCZNY

## O PŁODNOŚCI PISARSKIEJ.

Któż dzisiaj nie pisze? Gdzie się zwrócisz napotkasz literata lub literatkę, autora noweli lub ulotnego wierszyka, drukowanych lub niedrukowanych utworów. Papier i druk dzisiaj tanie, a periodyczne pisma podobne są do legendowego wilka żelaznego, zjadającego wszystko co mu w paszczę wpadnie. Z rozrostem prasy wzrosła i potrzeba pisania, wzmogła się i płaca ludzi poświęcających się pracy literackiej. Z pomiędzy jednak tysięcy przelewających uczucia swoje na papier i wysilających fantazję na zadrukowanie kilku arkuszy papieru, iluż zaledwie przechodzi do potomności, ilu imiona stają się własnością społeczeństwa, które je powtarza z czcią i uszanowaniem. Zaledwie kilkunastu, kilkudziesięciu. Reszta ginie w pyłe zapomnienia, a jedyną ich nagrodą własne zadowolenie, uczucie, że myśl przez nich rzucona na papierze, przestroga w tej lub innej wypowiedziana formie, gdzieś między ludzi się dostała i spełniła swoje zadanie. Uczucie tego zadowolenia jest całą nagrodą najwięcej piszących tj. dziennikarzy, których prawie nikt, lub mało kto zna po nazwisku, a jeżeli kto, to pewnie oni na pamięć społeczeństwa zasługują. Każdy z nich jest żołnierzem na posterunku a bronią ich pióro, którym walczą niestrudzenie w obronie i dla społeczeństwa, wśród którego żyją. Skuteczność pocisku wyrzuconego w stosownym czasie, trafność strzału — oto ich nagroda. Przyznajcie, że na taką nagrodę — potrzeba wiele poświęcenia egoizmu, wielkiego zaparcia się samego siebie.

Ileż to potrzeba napisać tomów chcąc być sławnym? Ile do nich potrzeba włożyć własnego życia? Tak życia, bo autor tworzy kosztem swojego zdrowia, pisze nerwami i krwią własną i wkłada w pismo swoje rozum i serce.

Nikt nie przypuści przecież, aby Kraszewski, Jeź lub Korzeniowski napisaniem jednej powieści mógł sobie pozyskać sławę i pamięć w historii literatury. Chcąc sobie na nie zasłużyć musieli napisać wiele, bardzo wiele. Kraszewski napisał tyle,

że katalog dzieł jego i artykułów rozprószonych po wszystkich pismach polskich, utworzyłby osobną grubą księgę.

Inaczej ma się rzecz z poetami. Wielcy natchnieni piewcy nie przechodzą do potomności dla ilości napisanych pieśni. »Oda do młodości« Mickiewiczowi, »Treny« Kochanowskiemu, »Chorał« Ujejskiemu, starczy za całe biblioteki i folianty spisane pracowitą ręką pisarza powieści lub romansów, choćby niewiedzieć jak były prawdziwymi i napisanymi po mistrzowsku.

Ale to są wybrańcy, którzy przyszedli na świat z iskrą bożą w sercu i gwiazdą promienną nad czołem. Inni, wszyscy muszą się dorabiać uznania i sławy, twardą pracą pisarską i trudem. Gdy pomyślimy sobie, ile to napisali tacy pisarze jak Wiktor Hugo, Dumas, jeden i drugi, z dawniejszych Lopa de Vega, Walter Scott, Kotzebue, z naszych pisarzy Kraszewski, zaprawdę wierzyć się nie chce, iż to jedna mogła przez całe chociażby życie napisać ręką, że życie człowieka mogło wystarczyć na zapełnienie wielkiej szafy, dziełami jednego i tego samego pisarza. Zkąd się bierze ta siła produkcyjna, zkąd pochodzi ta olbrzymia w tworzeniu inwencja, gdzie ma źródło ta żelazna w pisaniu wytrwałość? Odpowiemy: w potrzebie. Tak, nie co innego, jak tylko potrzeba jest ową dźwignią wyrzucającą w świat tysiące zapisanych arkuszy, które przedrukowane rozchodzą się w milionach po szerokim świecie. Jeżeliśmy scharakteryzowali źródło owe tym wyrazem, musimy go zdefiniować bliżej. Przez potrzebę w tym wypadku rozumiemy ów nerw w człowieku odzywający się u każdego rano wstającego człowieka i pędzący go do pracy. Owa naturalna konieczność każąca robotnikowi wziąć młot czy piłę w rękę, urzędnikowi pójść do biura i załatwić swą zawodową czynność, kobiecie krzątać się koło porządku domowego, owa konieczność sadza autora przy biurku, wkłada mu pióro w rękę i prowadzi ją po papierze. Popęd ów wychodzący z nerwowego usposobienia człowieka, przemienia się w codzienny zwyczaj, w obowiązek, od którego już nie odstępować i złamać go nie może bez zmiany warunków swojego istnienia.

Znakomity pisarz Jean Paul powiada: »Uważam za swój obowiązek, ani używać, ani zarabiać

lecz pisać — ilekolwiekby to czasu lub pieniędzy kosztowało — ilukolwiek przyjemności i uciech ofiara czasu pozbawiłby mnie miała». Na innym miejscu powiada znowu: »Pisarz, twierdzący, iż potrzebuje rozrywki, powinien się wyrzec wszystkich wygod, choćby one siłę jego twórczości mogły spotęgować: niechaj niemi wzgardza, aby mógł stać się rozrywką dla całego stulecia i całego narodu».

*St. Błotnicki.*

(Ciąg dalszy nastąpi).

## PRZEGLĄD TEATRALNY.

Jeszcze w ostatnich dniach sierpnia wróciła z Krakowa operetka, rozpoczynając przedstawienia jesiennego sezonu „Baronem cygańskim“. Tuż przed pierwszym września przybyli artyści dramatu z Krynicy, gdzie przebyli letni sezon teatralny, wcale ożywiony. Rozpoczęto „Zemstą“ Fredry, wznowioną w poprzednim sezonie w obsadzie nowej (czeszniak p. Frenkiel, rejent p. Ruszkowski, Dyndalski p. Wojdałowicz) i omówioną wówczas w „Ruchu“. Właściwą jednak inaugurację obecnego sezonu teatralnego stanowiły gościnne występy p. Bolesława Ładnowskiego, byłego tragika sceny naszej, obecnie artysty teatrów warszawskich. P. Ładnowski przybył do nas z Krakowa, gdzie z niepospolitym sukcesem występował w tragedjach szekspirowskich. U nas stosunki nie pozwoliły wystąpić p. Ładnowskiemu w rolach klasycznych, w których interpretacji celuje. Ani dekoracje, jakie pozostały z lat poprzednich, nie nadają się już do poważnego wystawiania Szekspirów, ani ensemble dramatyczne nie jest jeszcze dostrojone do tych najwyższych tonów sztuki dramatycznej. Występował więc p. Ładnowski w „Właścicielu Kuźnic, w wybornej komedji „Przed ślubem“ i w „Aktorach dworu“. I tą razą objawiła się owa siła magnetyczna, jaką dawny nasz tragik wywiera na publiczność lwowską, tak obojętną i mało wrażliwą. Pomimo że wieczory były nieznośnie gorące i że cyrk Sidolego ciągle jeszcze bawi i wabi w mieście naszym, teatr był przepelniony. Zarówno do sztuki jak do manieri Ładnowskiego przywykła publiczność lwowska, jedną i drugą polubiła i cokolwiekby krytyka miała p. Ładnowskiemu do wyrzucenia, publiczność ulubienica swego zawsze będzie obsypywała objawami swej sympatji.

P. Ładnowski nie zmienił się. Oko jego jak dawniej stale wyraża melancholję, uśmiech bolesny stale osiadł na jego ustach. Zjawił się w „Właścicielu kuźnic“ z wizytą u margrabiny, a pierwsze słowa: „Czy pozwolił

margrabino, ażeby ci przedstawił siostrę moją?“ już wypowiada z grozą tragiczną, która, skoro nie ma być wprost lekceważoną, każe szukać nam jakiej tajemnicy ciemnej, łączącej te osoby. Ale takiej tajemnicy nie ma, jest to artystyczny „Aufsitzer“, na którym od razu należy się połapać. W „Właścicielu kuźnic“ gra p. Ładnowskiego od początku do końca przesycona jest jaskrawymi kolorami dramatycznymi. Nie mogąc się zgodzić na sposób pojmowania tej roli przez artystę, przyznać mu jednak musimy, że odtwarza Filipa Derblaya po swej myśli jednolicie i konsekwentnie, i że w podnioslejszych chwilach, jak np. zaraz w głównej scenie aktu pierwszego w rozmowie z Klarą, ma porywające tony namiętności i obrażonej dumy męzkiej.

Najbardziej podobał się u nas p. Ładnowski jako August Nowowiejski w „Przed ślubem“. Postać ta, głębiej pomyślana, nie łatwo znajdzie umiejętniejszego tłumacza aniżeli p. Ładnowskiego. Ironja, którą August gryzie siebie i innych, melancholja, która ocenia własne jego serce, wspaniałomyślność, z którą uszczęśliwia tych, co jeszcze mogą być szczęśliwymi: wszystkie owe własności, które składają się na to, ażeby z Augusta uczynić tak sympatycznego samotnika, w grze p. Ładnowskiego łączą się tak naturalnie, tak wiernie i pełno w interpretacji jego występują, że Augusta zaliczyć musimy do pierwszorzędných, najlepszych kreacyj artysty.

Jako Urban w „Aktorach dworu“ ujmował p. Ładnowski przedewszystkiem wybornem zewnątrzem, uprzedopodobniającem stan fizyczny i psychiczny schorzałego linskoka, pożeranego namiętnością dla pięknej Manon Lercant. Miara estetyczna, która należy do największych zalet p. Ładnowskiego, kazała mu być oszczędnym w znamionowaniu chorobliwego stanu Urbana; a kaszel jego, ile razy występował, był o tyle naturalnym, że przejmował istotnie zgrozą koniecznej bliskiej śmierci skromnego statysty teatru francuskiego, w którym tli iskra genjuszu. Wielka scena w akcie drugim, kiedy Urban, zarzuciwszy togę Cezara, deklamuje ustęp z roli Augusta, zanadto gorączkowo była odegrana przez pana Ładnowskiego, ażeby miała osiągnąć ów potężny efekt, który może wywołać przy należytem odmierzeniu środków artystycznych, zwłaszcza tempa deklamacji. Natomiast śmierć Urbana oddaną była z owem pięknem poetycznym, które stanowi właściwość gry tragika warszawskiego.

Drugą z rzędu „attraction“ był występ nowozaangażowanej artystki p. Ireny Niesiołowskiej w „Fedorze“. Debiutantka grała księżnę Olgę Sucharew, arystokratkę rosyjską, znudzoną nadmiarem użycia, ekscentryczną z usposobienia i z łaski losu, obsypującą ją miljonami.

Pani Niesiołowska odznacza się postacią jakby stworzoną dla ról salonowych, przewyższa ponoś wzrostem wszystkie artystki sceny naszej. Sangwiniczne nadzieje,

że znajdziemy w niej zastępczynię p. Parżnickiej, rozwiął atoli już pierwszy jej występ, okazując, że zakres talentu i sztuki p. Niesiołowskiej jest skromniejszym. Rutyny nie brak nowej artystce; atoli scena większa, pod każdym względem stawia pewne wyższe wymagania, którym pani Niesiołowska zadość jeszcze nie czyni. O ile po jednym występie sądzić można, p. Niesiołowska z czasem stanie się wcale pożytecznym członkiem sceny naszej.

Nadmieniamy, że sala teatralna uległa gruntownej restauracji, której od tylu lat już potrzebowała, a której doczekała się dopiero pod dyrekcją p. Barącza. W pełnym świetle lamp przedstawia się ona obecnie wcale okazale.

—a.—

## Z PIERWSZEJ WIELKIEJ WYSTAWY

sztuki polskiej w Krakowie.

Pierwsza wystawa krajowa sztuki polskiej którą uroczycie z dniem pierwszego września w salach Towarzystwa przyjaciół sztuk pięknych otwarto, przedstawia się świetnie i bogato, tak pod względem ilości, jak i jakości wystawionych utworów. Możliwy podysputować z urządzającym wystawę sztuki komitetem o nazwę brzmiącą »pierwsza wystawa sztuki polskiej«, którą w obec nieustającej wystawy Towarzystwa przyj. sztuk pięknych niewłaściwie ohrzczone. Możliwy na śmiało wystąpić w imieniu akcjonariuszy, którzy o swe prawa bezpłatnego wstępu na nieustającą wystawę Towarzystwa upomnieć się winni. W obec jednakowoż pierwszej krajowej wystawy dzieł sztuki, tej rara-avis w kraju naszym, która może zapowiedzią lepszej przyszłości dla naszych artystów będzie, zamknijmy oczy na te drobne cienie spadające na urządzający wystawę komitet, a pierwszą tę krajową wystawę sztuki naszej z radośnym powitajmy sercem.

Przechodząc przez piękne a bogato ozdobione sale wystawy i wzięwszy pod uwagę tę mnogość tworców prawdziwie artystycznych, przyjdziemy łatwo do przekonania, że lubo wiele pozostaje jeszcze do zrobienia, w każdym razie te siły najzupełniej wystarczają na zaspokojenie naszych potrzeb i wymogów a uciekanie się do źródeł obcych, jak to jest u nas w zwyczaju a raczej w modzie, należy do krzywdzących sztukę naszą grzechów.

Do wystawy naszej przywiązano liczne nagrody tak w trzech różnych medalach, jak i w zmianach zaszczytnych, któremi każdy z rodzajów sztuki nagrodzony będzie. Medal lub odznaczenie tego

rodzaju na wystawach zagranicznych ma swoją wysoką nie tylko moralną ale i materialną korzyść. U nas nie uprzedzając przyszłości, w obec ciężkich warunków rozwoju, w obec zakorzenionej obojętności, jaką publiczność nasza sztukę darzy, pozwolę powątpiewać sobie o bądź jakiejś korzyści, jaką artysta z odznaczenia tego rodzaju odnieść może. Uzyskany medal lub odznaczenie za granicą, sprawia zainteresowanie się świata artystycznego a z nim związanej fachowej krytyki. Dzieła nagrodzonego idą w cenę a przedsiębiorczość handlarzy sztuką, w takim razie, wybiega po za sferę codziennego życia pragnąc być w posiadaniu jeśli już nie nagrodzonego oryginału to przynajmniej kopji.

Jakaż różnica w stosunkach naszych? Polityczne a za nimi w ślad bieżące ekonomiczne stosunki kraju absolutnie nie pozwalają na rozwój sztuki tego rodzaju; nazwiska zaś ludzi zamożnych jakżesz rzadko i wyjątkowo przy pracach artystów naszych figurują. To też sztuka nasza mimo genialnych artystów, jakimi na zewnątrz kraj chlubić się może, pozostaje w gruncie rzeczy bez prawa obywatelstwa. Tuszyć przeto należy, że dzięki li tylko tym genjuszom—pionierom, dziś przed oczyma przesuwaną się całą plejada malarzy, na przebój raz utorowaną drogą, potrafi dalej nieść przed narodem oświaty kaganiec. Oświaty? Tak a nie inaczej. We Włoszech i Francji sztuka jest ostatnim wyrazem cywilizacji, jest rozkoszą duchową, której się łaknie i której się używa do syta, u nas natomiast jest dopiero na szczyblu rozwoju. Tam jest potrzebą, u nas luksusem. Ta pierwsza zatem krajowa wystawa dzieł sztuki spełnia swoje zadanie nie tylko pod względem czysto artystycznym, ale zarazem jest dowodem żywotności narodu spełniającego cywilizacyjny swój obowiązek.

Publiczność zaś, ta publiczność wrażeń łaknąca, niech nie szuka w przechadzce ze mną po salach wystawy innych wrażeń jak tylko wrażeń opartych na uczuciu, piękna, prawdy i dobra. Sztuka nie jest kapłanką w usługach tendencji jakichś będąca, sztuka jako bóstwo, wymaga sama dla siebie hołdu i sama sobie wystarcza. Przez pryzmat tych wyobrażeń, patrząc na wystawione dzieła, przeprowadzę czytelnika w dalszym ciągu artykułów, przez szereg sal wystawionych.

*Jacek Soplica.*

## Salon paryski.

(Ciąg dalszy).

P. Jules Breton poświęcił swą młodość poszukiwaniu i pozyskaniu pewności pendzla; zdobywszy raz to złote runo, może odtąd śmiało kroczyć i obracać się w zakresie swej sztuki, której przedmiotem uczucie i życie wieśniaków. Niechaj to będzie pociechą dla wszystkich tych, którzy szukając, naprzód dążą. Dobry skutek i swobodę znajdują u końca swej mety i to będzie ich nagrodą. Druga połowa czynnej kariery p. Bretona jest istotnie wieczorem pięknego dnia. W obrazach takich jak: „A travers champs“ lub „Fin du travail“ — wystawionych w teraźniejszym sezonie, pewność techniki, wyraz spokojny a jednak intensywny, tło nieba łagodne i ciche świadczą dobitnie o stanie duszy malarza. Pan Breton jest głównie malarzem wieczorów; jest poetą owej różowemi blaski przesiąkniętej atmosfery zachodzącego słońca. Godzina zmroku napełniała go zawsze zachwytem, któremu potrafił dać wyraz zarówno w obrazach jak w pięknych rymach, zebranych w nowej edycji jego dzieł poetyckich. Tylko oko prawdziwego artysty potrafi pochwycić ową nie złotą, co pięści kształty ziemskie w godzinie ginącego światła; odnajdziesz, a raczej odczujesz ją w konturach postaci kobiecych, odbijających się od purpurowego widnokregu na obrazie „Fin du travail“. Wśród zgrai obrazów, przepełniających ściany Salonu te malowidła poważne i łagodne nie zawsze będą należyte pojęte i rozumiane, należałoby je odłączyć od innych, by się im móc przypatrzeć do woli; jakże wymownem i poetycznem wydałoby się wówczas ich milczenie!

Łatwo odgadnąć jak rzadkimi są w obecnym wieku realizmu malarze, którzyby podobnie jak p. Jules Breton usiłowali wcielić w naturę cokolwiek duszy ludzkiej. Darmo ich szukać w Salonie; zadowolmy się więc artystami, którzy malują prawdę, nie otaczając jej aureolą sławy. Niektórzy z nich są nader zrzędni.

Pocziwy Dechamps napisał o malarzu de Hondekoeler pamiętne zdanie: Wszystkie obrazy tego malarza są ptakami“. Gdyby członek Akademii w Rouen żył jeszcze mógłby z równą trafnością stylu scharakteryzować talent p. Augusta Dursta. P. Durst aż do najnowszych czasów był malarzem kureząt. Malował je wyśmienicie, podchwycił i oddawał wiernie ich sytuację i stan umysłowy w chwilach wygrzewania się na słońcu lub skubania trawki. Grzebiąc wciąż dzióbkiem i pazurkami, małe te zwierzątka wygrzebały nawet medal dla nadwornego swego malarza. Aż oto p. Durst porzuca naraz swe ulubione towarzyszeki. „Córki dzierzawy“ to nie kurezęta, to trzy siostry siedzące na taczkach wśród zielonego ogrodu i przyglądające się kilku gościom, które odbywają tam swoją przechadzkę. Scenę oświetla dzień

pochmurny, nie rozweselony żadnym żywszym promieniem słonecznym, z obrazu przemawia trzeźwość delikatna. Autor słusznie postąpił, mając się rzeczy trudniejszych; kto czuje jakiś niepokój w końcach swego pendzla, ten trudno by życie swe poświęcił malowaniu kureząt.

Rzadko spotykamy u malarzy taką odmianę, jakiej przykładem jest obraz powyższy; zazwyczaj artysta nowoczesny, odkrywszy wene, która mu do gustu przypada, wyzyskuje ją z wytrwałością niczem zachwiać się nie dającą, nawet nie obawą ściągnięcia na siebie zarzutu monotoności. Wydoskonala swą pracę, lecz nie zmienia swego ideału i obawia się, że się zaawanturuje, skoro przestąpi teren sąsiedni. Despotyzm kupców i amatorów obrazów może poniekąd usprawiedliwić tę nieznużoną wytrwałość przy jednym i tym samym temacie. Opowiadają o jednym malarzu, który raz zaprząwszy do wózka białego konia, skazany został pierwszym odniesionym sukcesem do bezustannego reprodukcji tego samego zaprzęgu. U innych znów to ciągle powtarzanie się ma swą przyczynę w otoczeniu, wśród którego żyją.

Zużytkowują studja porobione w młodości i nie starają się wcale o sposobność robienia nowych studjów. P. Geoffroy będzie prawdopodobnie jeszcze długo wyłącznie malarzem dzieci i studentów. Zna on dobrze ich miłą szpiegowską, ich nieporadność i nieokrzesaność i umie z prawdziwym wdziękiem malować ich gry, ich kłótnie i ich lenistwo. „Ostatnia kropla“ przedstawia małego draba, wysączającego ostatnią kropelkę wina z próżnej butelki; mały ten obrazek jest sprytnie i dobrze malowany; szkoda że p. Geoffroy, idąc za przykładem swych kolegów od dwóch czy trzech lat rozszerza ciągle swe ramy. Na tak wielkich obszarach spryt i wdzięk zbyt się rozchodzą i ulatniają. Z wielkim talentem obserwacyjnym oddany jest obraz p. t. „Niedziela palmowa“; jest to procesja małych dziewczątek, prowadzonych przez zakonnicę i trzymających w rękach święcone gałązki palmowe; gdyby głowy tych pobożnych dziewczeczek były o połowę mniejsze, miałyby wyraz poufalszy i bardziej do serca przemawiający. Stara to historia, że pięknego zapachu dobrego wina nie należy psuć żadną podejrzaną przymieszką; ponieważ wina pana Geoffroy jest dobre, powinien więc podawać je w stanie czystym, nie rozwodnionym.

P. Eugène Buland, którego zasługi już kilkakrotnie były podnoszone, maluje z zamiłowaniem charaktery. Wiele też charakterystycznego mieści w sobie najnowszy jego obraz tragicomiczny „Spadkobiercy“. Wieśniacy świątecznie przybrani, czy też prowincjonalni mieszczuchy siedzą w domu zmarłego w strojach żałobnych. Sędzia pokoju opieczętował był skrzynię wielką, wiele obiecującą: pieczęcie właśnie co zostały zdjęte, otworzono skrzynię i oto spadkobiercy spoglądają w oblicze — próżni. Każdy z nich zmusza się do zachowania miny przyzwoitej, lecz wszystkich w samo serce trafił ten

widok okrutny i z irytacją źle ukrywaną rozmyślają, gdzie się mógł podziać majątek ich drogiego krewnego. Jestto przedmiot à la Wilkie, traktowany z powagą sprytną i dowcipną, bez mimiki przesadnej i bez karykatury. Jeden błąd tylko wykazuje ta kompozycja. Wieko otwartej skrzyni jest wewnątrz oklejone jakąś czerwoną materją i ten to kolor krzyczący i izolowany, staje się jeszcze jaskrawszym pod okiem widza i wywołuje wrażenie chwiejności. Być może iż skrzynia, która panu Buland za wzór służyła, miała w istocie wieko czerwone, lecz nie licuje z godnością człowieka wolnego, by z taką uległością uchylać czoła przed kaprysem tonu lokalnego. Wielka szkoda, że autor nie zbuntował się przeciw temu intrygantowi, bo jego „Spadkobiercy“ o minach łotrowskich, stanowią obraz pełen potęgi i wyrazu.

(Ciąg dalszy nastąpi).

## Kronika literacka i artystyczna.

### Od Redakcji.

W zeszytcie dzisiejszym rozpoczynamy druk „Wspomnień więźnia“ Florjana Bohdanowicza, które kreśląc żywymi barwami stosunki więzienne i dolę politycznych przestępców, powinny zwrócić na się uwagę szerszej publiczności.

W zeszytcie 19. rozpoczniemy druk dramatu Alfreda Nossiga p. t. „Król Syjonu“, odznaczonego na konkursie dramatycznym im. Wojciecha Bogusławskiego w Warszawie. Zarazem wprowadzamy od przyszłego kwartału do czasopisma naszego nową rubrykę, a to „Sylwetki znakomitości polskich z dziedziny, literatury, sztuki i życia politycznego“. Spodziewamy się, że otwierając tę rubrykę i powiększając w ten sposób treść naszego czasopisma, zaskarbiamy sobie wdzięczność naszych czytelników.

\* \* \*

### Literatura.

— U Gubrynowicza we Lwowie wyszła szosta serja „Opowiadań dra Antoniego J.“ również A. Wybranowskiego „Silva rerum“ osnute na starych wspomnieniach.

— Księgarnia Altenberga we Lwowie, wydała ozdobnie „Księga aforyzmów, myśli, zdań, uwag i sentencyj ze stu pisarzy polskich wybranych, przez Wł. Piasta“.

— Nakładem Akademji krakowskiej wyszedł drugi tom „Biblioteki najstarszych poetów polskich, piszących po łacinie“ i obejmuje Pawła z Krosny i Jana z Wiślicy.

— Zdzisław Rulikowski przełożył na język francuski tragedję Słowackiego „Beatrix Cenci“ i wydał ją w Krakowie z przedmową Juljusza Mien.

— W Warszawie ukazało się Dębickiego Wład. Mich. „Myśl i słowo, logika i gramatyka“. Jest to krótka rozprawka naukowa, w której autor stara się zbici twierdzenie, iż człowiek myśli tylko wyrazami, tudzież wykazać, że gramatyka jest nie zależną od logiki, że nie jest logiczną, że jedynem kryterjum w kwestjach gramatycznych winien być *usus* powszechny.

— Wyszła w Warszawie powiastka dla ludu „Był sobie taki Józek“, odznaczona na konkursie „Gazety Świątecznej, napisana przez Józefa Waśniewskiego.

— Zygmunt Rewkowski, inżynier komunikacji ogłosił „Początki ekonomji analitycznej, czyli teorji robót w ogólności“.

— Wychodzące obecnie w Paryżu, nakładem księgarni Hachette'a, dzieło „L'atmosphère“ C. Flammariona, za upoważnieniem autora i wydawcy, przekłada na język polski H. Sopoćko; dzieło to składać się będzie z 800 stronic druku w ósemce, ozdobione przeszło 300 drzeworytami, 15 chromotypografiami, dwiema mapami, koloryzowanymi osobno i 17 w tekście.

— Powieść Michała Bałuckiego „Biały murzyn“ opuściła prasę jak również komedja M. Gorzkowskiego „Warszawskie śluby“.

— M. J. Zaleska napisała nową powieść dla młodzieży „Dwie siostry“.

— „Gazecie warszawskiej“, wyrokiem sądu toruńskiego, za rozkazem ks. Bismarka, odebrano debity pocztowy w cesarstwie Niemieckiem przez lat dwa.

— Jan Korytkowski, prałat gnieźnieński, ogłasza prospekt na obszerne dzieło „Prymasi i metropolice polscy od roku tysięcznego po dni nasze“.

— W Petersburgu pocnie wychodzić niezadługo tygodnik literacki p. n. „Panteon literatury“.

— Wyszła świeżo w Pradze książka p. t. „Wybrane powidki a novelly polské“ zawierająca pewną ilość celniejszych beletrystycznych utworów polskich w tłumaczeniu, upoważnionem przez autorów. Tłumaczenia dokonał p. Szwab Polabski. W wydawnictwie ilustrowanem „Złota Praha“ ukazuje się obecnie jedno z opowiadań Alberta Wilczyńskiego p. t. „Pociecha artysty“.

— W Węgrzech w 1885 roku wychodziło pism 706, w 1886 już 739, z tych 95 politycznych, 227 lokalnym interesom poświęconych, 52 beletrystycznych, 339 fachowych, 26 humorystycznych; 513 po madziarsku, 126 po niemiecku, 35 po chorwacku, 21 po serbsku, 18 po rumuńsku, 10 po słowacku.

— Literacko-naukowe stowarzyszenie bułgarskie ogłosiło konkurs (2000 fr.), na dzieło traktujące historję wychowania bułgarów w Rosji.

— Alfons Daudet, najsympatyczniejszy z powieściowców realistów francuskich, ciężko jest chory. Trapi go nerwowe rozdrażnienie, a świetne powodzenie, jakiego oddawna zaznaje w życiu, nie cieszy człowieka, który spać nie może... Na tej wszakże bezsenności Daudeta zyska literatura; autor „Numy Roumestana“ pracuje właśnie bez wytchnienia nad powieścią „L'immortel“, która będzie palącą satyrą na akademję francuską.

— „La terre“, nowa powieść Zoli, jak zwykle, wywołała dużo hałasu. Kilku mniej znanych młodych powieściopisarzy francuskich wystąpiło z protestem nawet przeciwko „nauczycielowi“ za jego zbytne hołdowanie pornografii. Zola jednak oświadczył w „Gil Blas“, że protestanci ci są mu zupełnie nieznani i że nie mają żadnej dobrej racji uważać się za jego uczniów.

— Ukazało się okazałe rozmiarami dzieło p. t. „Annuaire des artistes dramatiques et liriques“ za rok 1887, wydane nakładem paryzkiej firmy Devrès i Spółka. Dzieło to zawiera wskazówki dotyczące instytucyj teatralnych oraz muzycznych całej Europy, tudzież osób, poświęcających się scenie, kompozycji oraz muzyce w ogólności. „Annuaire“ należy uważać jako wydawnictwo reklamowe, bardzo dalekie od jakiegokolwiek celu praktycznego.

— Jako wyborna i pouczająca historia kolonizacji angielskiej służyć może nowo wydane dzieło bar. Hübnera „Durch das britische Reich“.

— W połowie października ma się ukazać u Murraya w Londynie zyciorys Karola Darwina, opracowany przez jego synów i zawierający mnóstwo oryginalnych listów wielkiego uczonego.

— W Chicago zawiązało się Towarzystwo imienia J. I. Kraszewskiego.

W New-Yorku zaczął wychodzić pod redakcją p. Antoniego Lewandowskiego nowy tygodnik p. t. „Ognisko“ z dewizą „Patrijotyzm, postęp i solidarność“.

— W Loup-City, w Nebrasce, zaczęło wychodzić nowe pismo „Gazeta Polska“. Jako redaktor odpowiedzialny podpisuje się p. J. K. Litwicki. Pismo to będzie organem kilku powiatów Nebraski, w których zamieszkali tu nasi rodacy i gdzie jest już sześć polskich kościołów.

\* \* \*

### Teatr i muzyka.

— L u t n i a, względnie owa dwunastka, która z takim powodzeniem koncertowała w Warszawie, zamierzała odbyć wycieczkę do Pesztu, Zakopanego, Krynicy itd. z powodu jednak przeszkód odłożono sprawę na rok przyszły. W tym roku odbędzie się artystyczna wycieczka tylko do Krakowa, Tarnowa, Rzeszowa i Sanoka, w drugiej połowie września.

— Nowa sztuka Stanisława Rzewuskiego „Wygwizdali“ będzie wkrótce przedstawioną na scenie krakowskiej, a przełożony na język czeski dramat „Bez pieniędzy“ wystawiony zostanie w Pradze.

— Dowiadujemy się z teatrów warszawskich:

W teatrze Alhambra przedstawiono nową operetkę L. Varney'a, kompozytora „Muszkietierów“ i „Przemokłego kupidyńka“, autora modnego obecnie w Paryżu i usprawiedliwiającego swą popularność oryginalnością pomysłów i umiejętną a dowcipną instrumentacją swych utworów. Jest nią rzecz nosząca w oryginale tytuł „Les mousquetaires au couvent“, a przełożona na „Żołnierzy Ludwika XIII.“ Opereta trzymana w tonie lekkim, nie przekraczającym miary humoru nieszarżowanego, odznacza się zaletami innych kompozycji Varney'a.

W teatrze Belle-vue wystawiono operetę „Farinelli“, z muzyką Zumpego. Mimo kilku lepszych, lecz znów nie dość oryginalnych ustępów, jest to raczej wodewil niż opereta — jakoż i głównie powodzenie zawdzięcza kupletom w akcie 3 zadadno ryzykownym. Następnie wystawiono „Lekkość“, komedię znakomitej spółki dramaturgów polskich: Bliźnińskiego i Sarneckiego.

„Nitouche“, wodewil Meilhac'a i Millauda, z muzyką Hervego, po przejściu tryumfalnym przez ogródki, dostał się na scenę Teatru Nowego, gdzie go przedstawiono ze starannością co do zewnętrznej wystawy. Występuje tu też pan Reeki, tenorzysta operetki lwowskiej. Artysta młody, przyjemnej powierzchowności, jakkolwiek widocznie wzruszony obecnością na nowej dla siebie scenie, grał jednak niezłe i w wielu miejscach zo swobodą.

Teatr Nowy Świat zapoznał ogródkową publiczność z „Tajemnicami Warszawy“, wykrojonymi z francuskiej sztuki mieszczańskiej Barrière'a, będącej przeróbką słynnych „Ubogich w Paryżu“ Al. Dumasa (ojca). Następnie wystawił dwuaktówkę F. Mielnickiego „Nowy Thersites“, nazwaną przez autora farsą. Tymczasem sztuka to naprawdę farsą nie jest, lecz komedią, o dosyć pospolitym pomysle i słabem obrobieniu. Pomysł ma na celu wykazanie prawdziwości zdania, że „kto pod kim dołki kopie, sam w nie wpada.“

Pan Aramburo, tenor *di forza* i panna Angeloni *prima-donna soprano* pożegnali publiczność warszawską w poranku dramatycznym, dawany na dochód kasy pożyczkowej teatrów warszawskich. Występujący obecnie z powodzeniem w partjach tenorowych p. Negri, jest śpiewakiem o średnim głosie, ale potrafi podołać i forsownym rolom, wykonywa je z precyzją, wykończeniem, artystycznym poczuciem i dobrą metodą śpiewu.

— W Poznaniu hawi angielskie towarzystwo operetkowe D'Olyly Carte z 56 osób złożone i produkujące się głównie w operze „Mikado“.

— Nowy teatr w Odesie blizki ukończenia. Koszta 1,300.000 rubli ponosi miasto. Oświetlenie elektryczne. Miejsce 1,600.

— Występy p. Aleksandra Myszugi (śpiewającego pod pseudonimem „Filippi“) w Pradze Czeskiej cieszyły się wielkim uznaniem. Szereg recenzyj, które sympatyczny artysta wywiózł z tej okolicy, świadczy o tem wymownie (w piśmie: „Narodni Listy“ i „Hlas Naroda“). Sprawozdania te nie trzymane w tonie banalnego zachwytu, ale rozbierające szczegółowo i technicznie przedstawione produkcje, podnoszą wysoko szkołę i dar użytkownika posiadanych środków, oraz artystyczne wykończenie i szczerą ekspresję.

— Lwowianka Lola Beth wystąpiła z powodzeniem w Wiedniu.

— Emeryk Kastner, redaktor „Wiener Musikalische Zeitung“, zapowiada nowe wydawnictwo: „Monitor muzyczny“, zawierające szczegóły i dane o wszystkich żyjących muzykach, artystach, wirtuozach, dyrektorach orkiestry, fabrykantach instrumentów itd. O łaskawe podanie wiadomości ze wszech stron uprasza wzmiankowane powyżej pismo, podając następujący adres dla korespondentów: Emerik Kastner, Wiedeń VIII. Benno-gasse 14. Pierwszy zeszyt „Monitora“, obejmujący przeszło 300 nazwisk kompozytorów, śpiewaków itd. ujrzał już światło dzienne.

— O. M. Schmidt wynalazł świeżo pedał „racjonalny“, który za pomocą odpowiedniego taboretu, daje się wsuwać do góry, tak, że siedmioletnie dziecko może doń dostać i przyciskać pedał do woli.

— Według doniesień z Pesztu, miał intendant tamtejszych teatrów hr. Keglevich samowolnie odrzucić dramat Maurycego Jokaja „Szukaj serca“ polecony przez komisję dla oceny dramatów i przedłożony teatrowi narodowemu do przedstawienia z powodu, że dramat ten ma zawierać reminiscencje z czasów rewolucyjnych. Przy niezwykłej popularności, jaką się Jokaj w Węgrzech cieszy, zarządzenie takie nie pozostanie bez epilogu.

— O t e l l o Verdiego przetłomaczony na język węgierski zainauguruje sezon operowy w Peszcie. Rola Desdemony śpiewaną jednak będzie po włosku przez signorę Gabbi.

— Byronowski Manfred z muzyką Szumana wystawiony być ma w Peszcie.

— Wykonanie w Monachium pierwszej opery Wagnera: „Die Feen“, zostało na ten rok zaniechane i odłożone do roku następnego.

— Geiblowski „Loreley“ z muzyką operową Fr. Paciusa, przedstawiony zostanie w Kopenhadze.

— Msza G o n o d a „Jeanne d'Arc“, wykonana w Reims, wywarła silne wrażenie.

— Komitet wystawy muzycznej w Amsterdamie postanowił odroczyć datę jej otwarcia do września 1888 roku. Wszelkie przedmioty wchodzące w zakres sztuki tonów i jej historii znajdują tu zastosowanie. Celem wystawy jest danie jak najdokładniejszego obrazu przeszłości muzyki i jej stanu obecnego

we wszystkich krajach. W tym celu obok całego szeregu rozpraw i prelekcji, odbywać się będą koncerty, na których słyszeć się dadzą prastare spiewy i kompozycje na oryginalnych i dziś do osobliwości zaliczonych instrumentach wykonane.

— W Paryżu pewne zainteresowanie budzi nowa opera, dzięki librettu pisanemu przez pana Valabrégue. Szczególny autor „Szczęścia małżeńskiego“, panujący obecnie na kilku scenach jednocześnie, zapragnął jeszcze podbić publiczność Bouffes Parisiennes, i przy pomocy muzyka Pugno, skomponował operetkę „Sobotwór“, mający treścią dowcipną odbiegać od oklepanych do zbytku żołnierzy, pensionarek i zamiany męzczyzn na kobiety.

— Budżet teatrów francuskich wykazał w tym roku świetne rezultaty. Dochód ogólny przewyższył o 1,763,296 fr. sumę zeszłoroczną. Na samych autorów wypadł procent z obdarzonych dzieł to jest tak zwane „droits d'auteurs“: milion osiemset sześćdziesiąt pięć tysięcy czterysta jeden franków. Jak widzimy talent we Francji popłaca. Jednym z obdarzonych jest pomiędzy innymi Paladilhe, który oprócz tantiemy i honorarjów wydawniczych, za swoją operę „Patrie“ otrzymał nagrodę Regnauda, wynoszącą: dziesięć tysięcy franków.

— Rząd francuski rozdaje zachęty dla pracowników sztuki w różnej formie. Jedną z nich jest coroczne obdarzanie zasłużonych orderami i nominacjami na oficerów akademii. W tym roku zaszczyt ten przypadł między innymi naszemu rodakowi warszawianinowi panu Gustawowi Lewicie który jest ceniony, jako zdolny profesor fortepianu i utalentowany wirtuoz.

— Prof. G. Sbriglia, zasłużony nauczyciel śpiewu w Paryżu, w uznaniu zasług swych dla muzyki, został mianowany oficerem akademii. Wszystkie prawie sceny europejskie zawdzięczają zasłużonemu nauczycielowi swe wybitniejsze siły: p. S. wykształcił cały szereg „gwiazd“ operowych, pomiędzy, któremi wymienić należy panią Józefinę Reszkę, obu jej braci: Jana i Edwarda, panią Durand; z bardziej znanych na scenie naszej uczyli się śpiewu u paryskiego maestra tenora Nouvelli i barytona p. Aleksandrowicza.

### Sztuki plastyczne.

— Na wystawę lwowską zjednoczonego Towarzystwa przyjaciół sztuk pięknych nadeszły następujące obrazy: Wawrzeńckiego „Po deszczu“, Żelichowskiego K. „W kuchni dworskiej“, tegoż „Pokusa“, Stasiaka Ludw. „Wojownik“, Mroczkowskiego Al. „Krajobraz“, Krajewskiego Dam. „Kwicia, ciarka“, Wędrzychowskiego „Politycy“, Hirszenberga S. „Siesta“, Radziejowskiego St. „Wnętrze“, Kozakiewicza A. „Modlitwa dziewczyny“ akwarella, Trojanowskiego Win. „Arab na straży“ Pruszkowskiego Wit. „Na kwiatach“.

— P. Ustjanowicz, artysta malarz, po ukończeniu studiów u Trenkwalda w Tieden, osiadł we Lwowie.

— Józef Brand zapowiedział na wystawę krakowską większych rozmiarów obraz „Na tropie“ z wojen tatarskich.

— Prof. St. Smolka, zamianowany został członkiem centralnej komisji do ochrony zabytków sztuki w Galicji.

— Komitet warszawskiego Towarzystwa zachęty sztuk pięknych ma kłopot z wyborem obrazu na reprodukcję tegoroczną. Okazało się, że ładny obraz Rymkiewicza „Zbieranie rannych“, nie może być reprodukowany. Jako tegoroczne premjum otrzymują więc członkowie Towarzystwa zachęty kopję obrazu Szermentowskiego „Kościołek wiejski“.

Na wystawę zachęty przybyły: Stasika „Złapana“, St. Radziejowskiego „Portret“, Cichockiego „Szkice“ i „Turek“, oraz Godeckiego „Portret“ z terracotty.

— Ma być ogłoszony konkurs na rysunek ambony do kościoła Wszystkich Świętych w Warszawie.

— Hans Wild przybywa do Warszawy z kolekcją portretów osób sławnych w Europie.

— Powszechna wystawa fotograficzna otwartą została 8. sierpnia w pałacu palmowym w Frankfurcie nad Menem.

— W Paryżu p. Adrjan Karbowski, urodzony we Francji, wystawił dekoracje malarskie do zamku p. Cahin, które zwróciły uwagę.

— W Paryżu odbędzie się wystawa karykatur od początku bieżącego wieku.

— Wychodzi w Rzymie, według informacji korespondenta „Gaz. Warsz. Album Zgody (Album della conciliazione) z wielkimi kolorowymi rycinami: na jednej widać ministra Crispi'ego, stojącego w galowym mundurze między kwirynałem a Watykanem; na drugiej zaś Leona XIII, idącego pod rękę z królem Humbertem. Pierwsze wydanie tej ryciny, złożone z 15.000 egzemplarzy, w kilka dni rozkupione zostało. Drugie, liczące 40.000 egzemplarzy, jest już prawie wyczerpane.

\* \* \*

### Zmarli.

— Fr. Commer, prof., kompozytor religijny i posiadacz zbioru dzieł muzyki religijnej dotyczących, zm. w Berlinie.

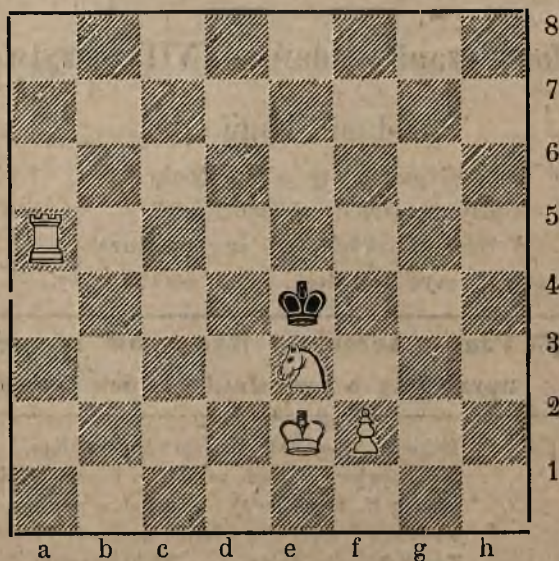
— W Fontainebleau pod Paryżem zmarł słynny muzyk francuski Juljusz Pásdeloup, wielce zasłużony około rozwoju poważnej muzyki we Francji. Urządzał on słynne koncerty, znane pod nazwą „Concerts populaires de musique classique, które cieszyły się wielkiem powodzeniem.

— A. Hennequin, słynny krotochwilista francuski, zmarł w domu obłąkanych pod Paryżem.

## ZADANIA.

### I. Zadanie szachowe Nr. XIV.

Czarne.



Białe.

Białe zaczynają i dają w trzecim pociągu mata.

## II. Łamigłówka.

dy—ca—det—lais—ro—i—dau—dyń—bo—u—  
doć—o—o—ra.

Z góry czytane litery to imię poety,  
Który posiada cenne a rzadkie zalety,  
Bo forma jego lekka i zupełnie nowa,  
Myśl zdrową a głęboką tak zalotnie chowa.

1. Poeta, co francuzów wiódł na nowe tory,  
Dlatego wspominany do dzisiejszej pory.
2. Pamięć jego nie zginie przez własne zalety  
I przez to że był druhem wielkiego poety.
3. To realista dziś bardzo czytany,  
Co bardzo się zbliża do autora Nany.
4. Tej powieści czytują tak starzy i młodzi,  
Bo w sojusz z realizmem jej pióro nie wchodzi.
5. Kto ostatnie wspaniałe przeczyta,  
Już nagrodę ma,  
Bo wie całość, a więc kwita,  
Zgadnij raz i dwa.

H. J.

## III. Kwadraty magiczne.

a	c	s	i
z	r	i	s
s	l	a	a
a	a	a	r

c	c	o	i
h	u	h	u
o	r	o	e
h	i	y	h

## Rozwiązanie zadań z XVII. zeszytu.

### Zadanie konikowe,

O wieści gminna, ty arko przymierza  
Między dawnymi i młodszymi laty!  
W tobie lud składa broń swego rycerza,  
Swych myśli przędzę i swych uczuć kwiaty.

Arko! tyś żadnym nie złamana ciosem,  
Póki cię własny lud twój nie znieważy.  
O pieśni gminna! ty stoisz na straży  
Narodowych pamiątek kościoła.

Trafne rozwiązanie nadesłali pp. Świtkowski Tarnopol,  
dr. Orłowski Przemysł, Nazarewicz Łancut, Dąbrowski Kraków,  
Heniszowa Korościatyn.

Premję przy losowaniu wygrał p. Dąbrowski w Krakowie.

## Kryptogram.

iodła  
dywan  
dłuto  
tytoń  
słyka  
pigwa  
grosz  
indyk  
asnyk  
mnieh  
szkło  
maria  
nauka  
mucha  
puhar

### Dwutygodnik Ruch.

Trafne rozwiązania nadesłali pp. Argasińska Stanisławów,  
Heniszowa Korościatyn, Łobos Milówka, dr. Orłowski Przemysł.

Przy losowaniu premję wygrał p. dr. Orłowski w Przemysłu.

## Skrzynka grafologiczna.

**P. J. K. K. w Kętach.** Pismo pańskie wskazuje na człowieka wesołego i bardzo lekkomyślnego. Jesteś pan nadto dosyć ambitnym i zarozumiałym.

**P. H. J. we Lwowie.** Dowcip i elegancja, oto cechy uderzające na pierwszy rzut oka. Przy bliższym poznaniu okazujesz się pan niedobrym i dosyć bezwzględny. Czy tak?

Za rozwiązanie łamigłówki przeznaczona się jako premję: „**OPOWIADANIA RUDOLFA**“ przez Adama hr. Łosia.

Za rozwiązanie kwadratów magicznych przeznaczona się jako premję: „**POWIESCI WIEJSKIE**“ Elizy Orzeszkowej.

**Panów Autorów i Wydawców** życzących sobie oceny swoich dzieł w „**RUCHU**“ upraszamy o nadesłanie dwóch egzemplarzy.

**TREŚĆ:** Piekiełko, powieść Michała Wołowskiego. — Poezja. — Wspomnienia więźnia (1876—1885) spisał Florjan Bohdanowicz. — Ruch naukowy: Powstanie ziemi i stopniowy rozwój życia organicznego na jej powierzchni, (podług N. S. Shaler'a). — Kronika powszechna. — Ruch kobiece: Kobiety w przysłówiach ludu francuskiego, włoskiego i rosyjskiego (wedle Leonarda Freunda). Panna Aurora, obrazek z życia kreolskiego Karola Baissac. Kroniczka dla kobiet. — Ruch literacki i artystyczny: O płodności pisarskiej, przez St. Błotnickiego. Przegląd teatralny. Z pierwszej wielkiej wystawy sztuki polskiej w Krakowie, nap. Jacek Soplica. Salon paryski (ciąg dalszy). — Kronika literacka i artystyczna. — Zagadki. — Rozwiązania. — Skrzynka grafologiczna. — Korespondencja Redakcji.